POLSKA INWALIDOM



№ 3

TOWARZYSTWO EKSPLOATACJI KAMIENIOŁOMÓW S-KA AKC. KRAKÓW, GRODZKA 40.

ŁOMY BAZALTOWE W BERESTOWCU NA WOŁYNIU.

TELEFONY; 3440 i 1322.

Rachunki bieżące: Bank Związków Ziemian, Warszawa, ul. Kopernika 30.
Bank Związków Ziemian, Oddział w Równem.
Pocztowa Kasa Oszczędności Nr. 2303.







KAMIENIOŁOMY MIAST MAŁOPOLSKICH

TELEFON Nr. 3440. SP. Z O. O. W KRAKOWIE TELEFON Nr. 1322.

ŁOMY PORFIROWE W MIĘKINI. — ŁOMY DOLOMITOWE W LIBIĄŻU.

BIURA CENTRALNEGO ZARZĄDU: KRAKÓW GRODZKA 40 II p.

MIEJSKE MUZEUM PRZEMYSŁOWE IM. DRA A. BARANIECKIEGO
W KRAKOWIE, UL. SMOLEŃSKA L. 9. — TELEFON 1339.

ZBIORY MUZEALNE

OTWARTE W NIEDZIELĘ I ŚWIĘTA. DLA PRZEJEZDNYCH I WYCIECZEK KAŻDEGO DNIA OD G. 10—1-SZEJ.

CZYTELNIA I BIBLJOTEKA

OTWARTA DLA PUBLICZNOŚCI Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT I NIEDZIEL OD GODZ. 5—8 WIECZ.

WYDAWNICTWA

SZEROKO ROZWINIĘTY DZIAŁ WYDAWNICZY Z ZAKRESU PRZEMYSŁU, RZEMIOSŁ, SZTUKI STOSOWANEJ ORAZ PODRĘCZNIKÓW ZAWODOWYCH.

NA ŻĄDANIE WYSYŁA SIĘ WYKAZY KSIĄŻEK WYDAWANYCH NAKŁADEM MUZEUM A TAKŻE

„RZECZY PIĘKNE"

CZASOPISMO POSWIĘCONE WYTWÓRCZOSCI PRZEMYSŁOWEJ I RĘKODZIEL. ORAZ SZTUCE STOSOWANEJ.
SZEREG ILUSTRACJI STANOWI CENNY MATERJAŁ WZORÓW DLA PRZEMYSŁU, RĘKODZIEŁA ORAZ DLA ARTYSTÓW I NAUCZYCIELI SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH I ZAWODOWYCH.

PORADNIA ARTYSTYCZNA

WYKONUJE PROJEKTY I WZORY DLA CELÓW PRZEMYSŁOWYCH I RZEM., UDZIELA INFORMACJI W ZWIĄZKU Z REKLAMĄ, DOSTARCZA WZORÓW MEBLI I Z INNYCH DZIEDZIN PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO.

KURSA ZAWODOWE

DLA RZEMIEŚLNIKÓW RÓŻNYCH ZAWODÓW TRWAJĄ PRZEZ CAŁY ROK SZKOLNY, JAK RÓWNIEŻ WYKŁADY DLA SZERSZEJ PUBLICZNOŚCI Z RÓŻNYCH DZIEDZIN WIEDZY I TECHNIKI.

KINO SZKOLNE

WYŚWIETLA PROGRAMY DLA MŁODZIEŻY I STARSZYCH.

INSTYTUT PSYCHO-TECHNICZNY

ROZWIJA SWĄ AKCJĘ PRZY WSPÓŁUDZIALE MUZEUM

WOJEWÓDZKI INSTYTUT RZEMIEŚLNICZO-PRZEMYSŁOWY

ZORGANIZOWANY PRZY POMOCY MUZEUM PRZEMYSŁOWEGO MIEŚCI SIĘ W GMACHU MUZEALNYM.

SZEREG TOW. SPOŁECZNO-KULTURALNYCH

ZNAJDUJE W MUZEUM PRZEMYSŁOWEM POMIESZCZENIE I POMOC W SWEJ DZIAŁALNOŚCI.

Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Zarząd Główny: Kraków, ul. Św. Anny 5.
Sekcja Wschodnia: Lwów, ul. Fredry 3.

Myśl założenia Towarzystwa Szkoły Ludowej powstała w łonie Komitetu, urządzającego obchód stuletniej rocznicy Konstytucji 3 maja w roku 1891. Hasłem Towarzystwa było: „Przez oświatę do wolności". Po długich wahaniach ze strony rządu austrjackiego statut Towarzystwa zatwierdzony został dopiero na wiosnę w roku 1892. Pierwszym prezesem Towarzystwa był ś. p. Adam Asnyk, poeta, filozof, polityk, niestrudzony bojownik idei zmartwychwstania Polski. Po jego śmierci (2 sierpnia 1897) prezesem Towarzystwa został wybrany Dr. Ernest Bandrowski (od 7 czerwca 1898 r.) i przez 23 lat niestrudzenie sprawował tę godność. Zmarł 28 listopada 1920, doczekawszy się Zmartwychwstania Ojczyzny. Od dnia 8-go października 1921 prezesem T. S. L. jest senator Dr. Ernest Adam. Dziś głównem hasłem T. S. L. jest: „Przez oświatę do potęgi i dobrobytu Rzeczypospolitej Polskiej", praca nad wychowaniem nowego typu doskonałego obywatela Państwa i ochrony kresów polskich przed wynarodowieniem.

Z działalności T. S. L.

Według ostatniego sprawozdania Towarzystwo Szkoły Ludowej liczyło 266 Kół, 6 Związków Okręgowych i blisko 30.000 tysięcy członków. Utrzymywało w całości lub częściowo 98 szkół, opiekowało się 294 szkołami. Utrzymywało 19 burs i internatów na kresach i 18 ochronek i ogródków dziecięcych. Prowadziło budowę 54 szkół, 8 kościołów i 16 domów ludowych na kresach wschodnich. Posiadało 70 domów ludowych, 142 bibljotek miejskich i 610 wypożyczalń i czytelni wiejskich. Urządziło 2,523 wykładów i pogadanek, w tem 893 z obrazami świetlnemi, 95 kursów dla analfabetów, 5 kursów dla pracowników oświatowych, 17 kursów zawodowych i uzupełniających, 78 wieców oświatowych, 644 przedstawień amatorskich, 404 obchodów narodowych, 236 zabaw i wieczornic, opiekowało się 99 wycieczkami ludowemi i szkolnemi.

Działalność T. S. L. stale się rozwija i coraz większe masy ludu polskiego czerpią z T. S. L. oświatę i kulturę. Każdy dobry Polak winien zawsze i wszędzie popierać Towarzystwo Szkoły Ludowej.

67

POLSKA INWALIDOM

KWARTALNIK ILUSTROWANY

ROK I. | WARSZAWA, LISTOPAD 1926. | NR. 3

GROCH O ŚCIANĘ.

W odpowiedzi na mój artykuł dyskusyjny, pomieszczony w drugim zeszycie „Polska Inwalidom", nie otrzymała wprawdzie Redakcja żadnego „artykułu", ja jednak, jako autor, spotkałem się z całym szeregiem zarzutów i naśmieszek, a także (nieszczerych może, lub tylko zrodzonych „nastrojem") pochwał. Nie umiem pisać nieszczerze, powiem więc odrazu, że zdaję sobie doskonale sprawę z tego „rzucania grochem o ścianę", jakiem jest niewątpliwie (w obecnym czasie) powoływanie się na hasła moralne, etyczne i patrjotyczne nie pod kątem widzenia partyjnym, nie dla doraźnego interesu, lecz szczerze, stanowczo i tylko w interesie ludzkości i człowieka. Zabierając raz jeszcze głos w tej sprawie, postaram się jeszcze wyraźniej mój punkt widzenia wytłomaczyć, nie powtarzając, oczywiście, tego, com już powiedział i zastosowując powiedziane bliżej do naszych stosunków. Odwołuję się więc do artykułu z Nr. 2-go i zaczynam. Rzucam nową garść grochu o ścianę — i nie dziwcie się, panowie ironizujący i niedowierzający, wieczni opozycjoniści — czynię to nie po raz ostatni. Bo taki już jestem uparty.

Otóż zdaje mi się, że był niegdyś czas, w którym wojska nasze, na wschód zwycięskim szlakiem przodków się posuwając, niosły kresom hasło dumne a święte „za naszą i waszą wolność". Zdawało się nawet, że nasza polityka ogólna (wewnętrzna i zewnętrzna) z tradycji polskiej, wiekami przekazanej, zdoła uchwycić i przejąć właśnie to, co w tej tradycji było najbardziej wartościowem, a mianowicie rozumną politykę konstytucyjną na wewnątrz, i politykę kultury, sojuszu i federacji na zewnątrz. Niestety, tak się nie stało. Po wielu wahaniach, niepewnościach, zaczynaniu i nawracaniu jesteśmy znowu tam, gdzieśmy na przestrzeni wielowiekowej historji naszej bardzo często bywali, jesteśmy znowu, stoimy mocno na granicy również tradycyjnego „jakoś to będzie".

Dlaczego?!

I gorzej. Rozbici na partje, z których każda potężniejsza ma tendencję dalszego rozdrabniania się, przeżarci egoizmem partyjnym, bezsilni patrzymy na marnowanie się własnych naszych programów, wysiłków i zasobów.

Dlaczego?!

Nie siejemy kultury na kresach. Nie dźwignęliśmy tamtejszego ludu z dna nędzy, nie zaleczyliśmy ran wojny, nie żyjemy w zgodzie. Skargi na to, co się dzieje, a dziać się nie powinno, płyną nieprzerwaną rzeką!

Dlaczego?!

Niema w nas zdrowia od stóp naszych aż do wierzchołku głowy dzisiaj — te słowa Skargi huczą znowu nad Rzeczpospolitą, huczą z potęgą.

Powiedział Mickiewicz: „I dlatego poszły w pogardę urzędy i mądrość: bo człowieka podłego nazywają w Europie ministerjalnym, to jest człowiekiem urzędowym; a człowieka głupiego nazywają doktrynerem, to jest mędrkiem". (Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego). I powiedział również: „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice". (Tamże).

Żyjemy w warunkach niezwykłych. To prawda. Wojna, o ile z jednej strony przyśpieszyła ewolucję całego szeregu spraw ludzkich, o tyle z drugiej niesłychanie obniżyła ogólny poziom moralny, dając silny triumf materjalistycznemu pojmowaniu życia tak, że każdy już niemal ideał „sięgnął bruku", przestał być ideałem, stał się interesem! Bo korzyść doraźna stała się — niestety — celem współczesności. Poniżone zostało prawo moralne. Gwałci się je codziennie i obchodzi sprytnie w imię najróżniejsze, a coraz otwarciej, coraz bezwstydniej, bez miary. Wszędzie. W nizinach i na wyżynach. W sprawach ogólnych i w sprawach prywatnych. Jest źle. Bo nie należy się łudzić. Bez wyraźnych poczuć moralnych, bez niewzruszonych granic zła i dobra, bez nakazu moralnego, któryby był sterem pewnym zawsze, nie zdziała nic społeczeństwo i prywatny człowiek. Zło się mści.

I nie pomogą tu nic usprawiedliwienia, że tak się dzieje nietylko u nas. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy drży Europa cała, drży ziemia, jakby w grozę budzących godzinach nowego porodu. Ta wojna, która — niby wicher liściem — pomiatała dorobkiem narodów i życiem ludzi, ta wojna właśnie ogłosiła światu deklarację praw wolnych narodów i wolnego człowieka.

O żadnym pochodzie wstecz mowy być nie może. Narody zdają egzamin ze swych sił i zdolności,— a każdy, krocząc własną drogą, kroczy wraz z innemi ku lepszym prawom Jutra, ku wspólnemu celowi Pokoju, Sprawiedliwości, Prawa.

Biada narodowi, który pozostanie w tyle. A pozostaną w tyle niewątpliwie te narody, które nie zdołają zorganizować się wewnętrznie tak, by ich zdrowie nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Bo powiedzmy sobie otwarcie: nie pomogą najlepiej obmyślone konstytucje, reformy i ustawy, nie pomogą nic udane rewolucje, inne formy rządu, inaczej nazwana policja, wojsko, ministrowie i t. d. dotąd, dokąd nie zmieni się *Człowiek*. Już Tołstoj zwracał uwagę na te sprawy i twierdził, że, gdyby rewolucjoniści zużytkowali choćby minimalną część swoich sił przedewszystkiem na karmienie i rozszerzanie duszy ludzkiej, to dawno już Zło świata rozpłynęłoby się w blaskach oświaty, jak śnieg w słońcu lata.

W poczynaniach naszych musi nareszcie zapanować niepodzielnie święta zasada prawa moralnego, zasada czystych rąk i dusz. Musi się nareszcie rozszerzać zwycięsko wola do walki z żądzą doraźnej korzyści, z powojennem chamstwem, zdziczeniem i głupotą. Nie wolno nam dalej patrzeć obojętnie, jak coraz głębiej grzęźniemy w najgrubszym materjaliźmie, jak coraz żarliwiej i bezwstydniej wyznajemy ciemną i na wskroś egoistyczną religję ziemi, jak walkę życiową zamieniamy w bój dzikich zwierząt, i jak nieopatrznie, gdyby dzieci, służymy korzyści doraźnej, która rodzi się ze strachu lub żądzy, ma krótki wzrok, i nie umie rozumnie przewidywać. Walkę ostrą podjąć trzeba z tem okropnem powojennem chamstwem, które zatruwa swoją barbarzyńsko - materjalistyczną filozofją życia społeczną atmosferę, wciska się wszędzie i wszędzie szuka żeru. Walka o triumf prawa moralnego będzie przedewszystkiem walką z tem potężnem chamstwem. Ale do walki tej stanąć winien każdy sprawiedliwie myślący obywatel Rzeczypospolitej, który pragnie wolnego życia dla siebie i swych potomków, który ceni honor i prawość, i nie nazywa „głupim przesądem" głosu sumienia, kiedy nawołuje: „nie wolno".

Oto wszystko. Oto byłaby podstawa programu tego obozu, który nazwałem „obozem trzecim". To nie są rzeczy niejasne, to są sprawy najzupełniej jasne. Można je lekceważyć i wyśmiewać, można nazwać, jak to już uczyniono, „dziecinnadą", ale niepodobna udawać, że się... nie rozumie. Rozumie się, rozumie dobrze, tylko... poco to wszystko? Życie jest życiem, panie dzieju, i t. d.

Ano... groch o ścianę.

Żet.

MIASTO*).

Tegoż dnia jeszcze napisałem dwa utwory, które zatytułowałem „Miasto" i „Dusza", i choć nie zdawałem sobie najzupełniej sprawy z ich wartości, postanowiłem je natychmiast zużytkować. Miałem jeszcze kilka (z dobrych czasów) biletów wizytowych, znalazłem także jakąś wymiętoszoną kopertę. Napisałem przeto słów kilka do redaktora Stefanowicza, dołączyłem wiersze, i o zmierzchu wrzuciłem do puszki redakcyjnej. Długa wędrówka znużyła mnie najzupełniej, lecz, mimo to, pierwszy raz od tylu, tylu miesięcy, ożywiało mnie dobre przeczucie.

— — — — — — — — — —

...Zdziwienie moje rosło. Szeroka, piękna ulica — ginąca w dali w błękitnawej mgle — grająca dwoma rzędami wysoko zawieszonych o świetle księżycowem lamp — ulica hucząca gwarem, dysząca tłumem ludzi, dzwoniąca turkotem powozów, rykiem samochodów, i brzękiem tramwajów — ulica, od której bezpieczeństwa zależało przecież życie może stu tysięcy ludzi — ta ulica doprawdy najwyraźniej się kołysała. Zrazu było to nieznaczne, ledwo dostrzegalne, lecz już po chwili nabrało cech gwałtowności. Przystanąłem. Wsparty o słup przystanku tramwajowego podziwiałem wesoły, poprostu beztroski spokój, z jakim ludzie przyjmowali ten straszliwy objaw. Szli pojedyńczo — parami — gromadami — szli z dziećmi i starcami — i nic sobie nie robili z tego, że się ta wspaniała ulica tak strasznie kołysała. Z początku zdjął mnie okrutny niepokój, chciałem nawet krzyczeć, nawoływać, ostrzegać, — ale potem zaczął mi się podobać spokój, wesołość i beztroska tych ludzi. Jacy oni mądrzy — myślałem w nagłem roztkliwieniu — wiedzą, że to będzie albo taka katastrofa, z której się nikt nie ocali, albo też... nic nie będzie. Doprawdy! Dlaczego się więc martwić, dlaczego się niepokoić? Dusza ludzka przecież żyje bez przerwy nad niezgłębionym odmętem zagadek i tajemnic, nad niezbadaną tonią śmierci, a przecież człowiek do tego się przyzwyczaił. Trzeba więc korzystać z życia, a nie filozofować. Carpe diem! Carpe diem! O, mądre jesteś, ty straszliwe miasto! Mądre, potężne i władcze! Oto i ulica się już uspokoiła. Można iść dalej bezpiecznie, można iść, można się wlec nawet, noga za nogą, powolutku, ostrożnie. Bo upaść jednak nie można, nie można nawet pełzać na czworakach!

*) Patrz № 1 „Polska - Inwalidom" str. 26 i № 2 str. 31.

Wtedy nadejdzie pan policjant, wtedy przyjedzie karetka Pogotowia.

Co? — Z głodu! — Nie! Pijany! — Ależ nie, z głodu! — Hę? Cóż to? Nie może pracować? Taki młody! — Udaje! — Pewnie! — A może... — Ano, co tam! Chodźmy... Przecie go nie zostawią!

— Ale! Od czegóż policja i szpitale?... Tak, tak. Nie zostawią.

— Nie zostawią!

O, straszliwe jesteś, ty ogromne miasto! I mądre i przewidujące są twe zarządzenia. Można na ulicy upaść z głodu i... nie zostawią! Doprawdy, nie zostawią! Kultura nie może patrzeć spokojnie na człowieka, który upadł z głodu!

— — — — — — — — — —

Nie zostawią...

To straszne.

Nie czułem w sobie ani kropli krwi, ani drobinki siły, ani funta wagi, — a jednak nie mogłem iść. Posuwałem się naprzód z niesłychaną powolnością, przystając co kilka kroków, siadając wszędzie, gdzie tylko można było — dysząc — coś szepcząc — walcząc ostatkiem sił z widmem, które mnie dusiło.

Bo szliśmy razem — ja i głód.

On wysoki, chudy, same kości, ochoczo przebierał straszliwemi nogami, łypał ku mnie czarnością pustych oczodołów, kłapał zębiskami i syczał: — No, ruszajże się, niedołęgo!

Zawsze, psiakrew, wiedziałem, żeś fajtłapa i głupiec, alem sądził, że cię miasto trochę rozumu nauczyło, no i ja także. O, bracie, ja dobrym jestem pedagogiem. Jeszcze się na mnie w tutejszym rządzie nie poznali, ale ja, stary, się nie dziwię, bo to młodziaki jeszcze i doświadczenia nie mają. Ale humor mam, psiakrew, coraz gorszy, za dużo tu jest u was roboty, przykrzy mi się. A nie jednegom przecie na drogę zbrodni wywiódł, używa se teraz, bracie, używa, a o mnie pewnie zupełnie zapomniał! Niemasz wdzięczności na świecie! Ale jestem ja! Ho! ho! Uniwersytet tworzę, najwyższą szkołę. Mój bracie, cóżem to ja już zamętu na ziemi narobił. Ja, głód! Słuchajże mnie po dobroci, bo źle z tobą będzie!

— Nie mogę iść!

— Ruszaj! Bo Walentowa kramik zamknie, a kto ci bułkę da? Zdechniesz jak sobaka! Może do redakcji pójdziesz? He! he! Woźny cię ze schodów na pysk spuści, tak, cóżeś to sława? albo protegowany? albo krewny ministrów? Hę? A może pójdziesz do ministerstwa pracy, co? Cóż — to?! Robociarzem jesteś? Do związku należysz? Nie powiedziała ci to już ta czarna pannica, żeś inteligent, który gazety powinien czytać, że ci się figa należy? Filozof! Bułkę mi tu przefilozofuje na nic! Głupi! Ruszaj, zatracona psiakrew! No!!

— Nie mogę iść!

— Nie możesz? Może ci te bułki przynieść, co? Sprytnie dwie pierwsze ukradłeś...

— Milcz!

— Hę?

— Milcz!

— Sam milcz, trutniu, i chodź! A nie, to ci dam takie milczenie, durniu, że się tu nogami nakryjesz. Zbiegowisko się zrobi, nie zostawię cię, nie, a jutro ha! ha! ha! we wszystkich gazetach...

— Nie! Nie!

Idę. Sina mnie otacza mgła. We mgle idzie głód. Kłapie zębiskami, łypie oczu czarnością i uśmiecha się. Szepcze...

— Jeszcze zdążysz. Cichutko podejdziesz z boku, latarnia tam daleko, nie zauważy cię. Jeden ruch, i dwie bułeczki, co?

Siadam znowu na ławeczce posłańców, pod jakąś cukiernią. Nie czuję nic. Prawie nic nie widzę.

Ale głód usiadł obok mnie. Straszliwą łapę położył na mojem ramieniu, i od tej łapy wszedł we mnie zimny, bolesny dreszcz. A głód charczy:

— No ty, moralisto, no! Idziesz?

— Nie.

— Nie? Chcesz?

— Co?

— No!

— Nie!

— Nie? No, czekaj! Marsz! Albo duszę!

W oczach mi ciemno, w oczach noc. Jakgdyby z kawałków lodu zrobione, kościste, ostre palce wpijają się w mą szyję. Z najwyższym wysiłkiem wstałem. Idę. Głód idzie obok mnie i dobrotliwie teraz się uśmiecha.

Nagle myśl! Pokażę go ludziom, to ucieknie! Ha!

Stanąłem.

— Cóż to? Już?

— Już?

— Hę? Mało ci!

— Won!

— Jak?!

— Won!

— Ho! ho! Ale cię tu nie zostawią...

I znowu idę.

— — — — — — — — —

W świetle gazowej latarni zajaśniała na mgnienie niepospolita twarz kobieca, i duże, czarne oczy spojrzały mi w twarz:

— To ja, Anka! Dobry wieczór!

Chcę jej pokazać ręką, że obok mnie idzie głód. Ale moja ręka odmawia mi posłuszeństwa, a za sobą słyszę wściekły szept:

— Marsz! Jeszcze kilka kroków! Walentowa jeszcze jest.

— Nie!

— Co, nie? Chłopczyku. Przecie cię nie zapraszam...

— Nie!

— Marsz!

— Nie!

Potężny cios spada na szczyt mej głowy. Dusi mnie sina mgła. Lecę. Boże! Jakaż przepaść! Nigdy nie wiedziałem, nigdy nie sądziłem, aby być mogła, a jednak jest...

Przez niewielkie okno zachodzące słońce patrzy mi prosto w twarz. Mrużę oczy, i, jak dziecko, niepomiernie raduję się tem, że wtedy to ogromne, czerwone słońce, na którego bezpromiennej teraz tarczy złociste blaski falują, — jakby się rozpryskuje, rozlatuje w tysiąc kul i tęcz, barwami się mieni, barwami gra. Tak! Doprawdy gra! Najwyraźniej słyszę muzykę tych barw, delikatną, subtelną, lekką, czystą, jak kryształ szemrzącej wody, daleką, nienazwaną, tajemną jak szczęście.

I nie dziwię się.

Wogóle przestałem się dziwić, zdaje się, wszystkiemu. Nie dziwi mnie nawet to, że nie czuję w tej chwili ani głodu, ani bólu głowy, ani żadnych „nadzwyczajności", które mnie przez czas tak długi otaczały. Leżę jakoś bardzo wygodnie, mam na sobie czystą, dziwnie długą i bez ramion koszulę, a obok mnie, na małym stoliczku, stoi szklanka mleka. To spostrzeżenie zagłuszyło we mnie cudną muzykę słońca. Nie dziwię się, ale zadaję sobie pytanie, czy to jest sen nędzarza, czy też rzeczywistość dzienna. Powoli— o, bardzo powoli wyciągam nagą, chudą, dziwnie długą rękę i dotykam nią szklanki. Jest! Rzeczywiście jest. Przecież to nie sen. No, tak. Wobec tego...

Ujmuję szklankę. Ręka moja drży. Szczęśliwie jednak donoszę szklankę do ust i piję, piję, coraz zachłanniej piję.

Cudownie, bosko, wspaniale! Któż to opisze, opowie kto? To życie, samo w sobie życie wstępowało we mnie, rodziło we mnie moc. Znowu uczułem w sobie tętniącą krew, znowu uczułem w sobie życie myśli.

Lecz...

Już niewiele zostawało w szklance. Lękliwa myśl: a potem? Odstawiam więc szklankę z żalem i wysiłkiem, i myślę...

Nagle:

— Pijże pan, pij! To, to dobrze właśnie robi. Zdrowie w tem, siła jest!

Kto mówi, kto?!

Naprzeciw mnie w cieniu, na zwykłym, prostym stołku siedziała... Anka, Anka z ulicy!

— Co? Nic nie rozumiem! Na litość Boską!

— Ii! Będziesz się pan głowił! Co tu jest do zrozumienia. Nic. My tu wszyscy dobrze z głodem znajomi, nam żadna dziwota. I pan też jakby już nasz!

— Jakto?

— A takto. Przecieżeś pan nie z miasta drań, a jeno bezrobotny, jak inni. Cie, tylko hardziach z pana to jest. Aż do omdlenia głodować, i nic. Ani tej pary szczerej z gęby nie popuścić, no! Ja to takich lubię. Ale i pana przygniotło, co?

— Kiedyż to mnie z nóg zwaliło?

— Ano, czwarty idzie dzień, jak pan u mnie leżysz.

— Co?

Tak. Z ulicy podniosła mnie Anka z ulicy. Przy pomocy jakiegoś przechodnia zaniosła mnie do siebie, a że „z głodem znajoma" leczyła mnie po swojemu. I można powiedzieć, wyleczyła. Byłem bardzo słaby, prawie bezsilny, ale byłem przytomny, nie miałem gorączki. Mogłem rozmyślać nad sobą.

Wieczór. Mała lampka oświetla jeno stół i oryginalną, niezniszczoną jeszcze twarz Anki. Reszta pokoju tonie w szarym mroku. Leżę wygodnie, popijam mleko, i pytam, i słucham. Nie ja zresztą zacząłem tę dziwną rozmowę. I słucham teraz, słucham spokojnie i chciwie, i wiem, że będę wszystko pamiętał, dobrze pamiętał.

— Więc któż cię właściwie wychował? — pytam.

— Kto? Ano, ono, miasto. Ulica. Ulica w dzień, w nocy, ulica gwarna. Bo przecie nie ojciec, nie matka. Matka dobra była, umarła. Miałam lat dziesięć Do szkoły chodziłam. Bo matka zawsze, żeby też kształcić, nie żałować, edukację dać. Na fortepianie się uczyłam, na wszystko miałam. Ojciec sklep z obuwiem miał. Duży. Ulica ładna, nie na przedmieściu, nie. Nie wiedziałam ja wtedy, co ulica, nie. Tramwajem jeździłam, w ogrodach się bawiłam. Żebrakom po dziesiątce dawałam, i było mi ich żal. Z pannicami się zadawałam, piękne książki czytałam, nie wiedziałam nic. Aż tu, masz matka w grób, a ojciec do szynku. Ze żalu rozpił się na nic. Kochali się pono z matką, kochali, długo na siebie czekali, i żyli... Boże mój! Patrzę ja tu na tych, choćby i moich sąsiadów, co to ani dnia bez wrzasku, bez bicia, i wspominam, a pamiętam wszystko dobrze, tak, aż mi i dziwno czasami. Kochali się, kochali, jakto raz w życiu może być, onci ją na rękach nosił, bo ojciec wielki był, a matka mała, niczego nie skąpił, niczego! Dla niej — to przestał pić, i przez jej śmierć zaczął znów. Oto się widzi tak, że przez ten matczyn grób i ojciec się przewrócił, i ja. A powiadają ludzie, że niezbadane są wyroki, tak.

Umilkła. Powstała. Wyprostowała swoją hardość młodości zachowującą, bujną postać i popatrzyła w okna. W czarnych jej oczach była zapewne zaduma.

A potem niepytana opowiadała dalej:

— I złe przyszły czasy. Przepił ojciec sklep, ja rzuciłam szkołę. Na przedmieściu teraz mieszkaliśmy, nędzny warsztat był. Często i na chleb brakło. A ojciec pił i pił. I zległ. Do szpitala zabrali. Nie miałam wtedy jeszcze lat piętnastu. Przywykłam do twardej doli, zapomniałam już o czystej bieliźnie, o całych sukienkach, o pięknych książkach i o dziesiątkach dawanych żebrakom. A ojca, mimo wszystko, kochałam. Kiedy w szpitalu zległ, sklepik zamknąć trzeba było, nie miałam z czego żyć. Powoli, powoli wyprzedawałam wszystko. Bo cóż było robić, co? A ludzie, miejskie ludzie, co to na dziesięciu dziewięciu drani jest, oszukiwali mnie na każdym kroku. Ba, sposobność taka! Przecie to byli właśnie tacy ludzie, jak ci wokoło, tu. Biedą przeżarci i wódką, pracą i tym siódmym potem, zawsze głodni i potrzebujący, a co niektóry to i wściekły, bo wytrzymalszy, na wódkę drań, na kobiety też. No, i cóż? Ojciec umarł, pochowali, i tyle. Z czułości rodzinnych, z bogactwa i dosytu nie zostało nic. Nic. Przecie pan wie, co to jest nic?! Przecie pan wie! Bo to mało ludzi wie. Mało. Bardzo mało. I ja się powoli, powoli o tem dowiadywałam. Zamieszkałam przy jakiejś tam ciotce, źle mi było. Orali tak we mnie, jak w tę żydowską szkapinę, obdarli z resztek po ojcu, oszukali, a do wdzięczności co wieczór nawoływali. Chlipałam po nocach, płakałam, aż tę wszystką miękkość ze siebie wypłakałam, i twardość we mnie, a upór, a siła młoda wstępować zaczęła. A pod ten czas i natura swoje zrobiła. Dziewka ze mnie rosła, jak się patrzy, i gładka, i bujna, i silna, a Bóg zdrowie dał niebylejakie. I krew gorącą, ot co! — umilkła znowu, usiadła w cieniu i nogi przed siebie wyciągnęła. Ręce na tyle głowy zaplotła, zadumała się. Po długiej dopiero chwili innym już głosem, głębszym jakby, i ciszej mówiła: — Dziś dopiero człek widzi, jakto się wszystko od początku składało, a układało. Robiło swoje życie, robiła i swoje natura. A i ta przeklęta ulica miasta też. Nocami często spać nie mogłam, paliło mnie całe ciało, ciężyły piersi i głowa. O mieście wtedy myślałam, o pięknej błyszczącej ulicy. A te sklepy, a te kawiarnie i restauracje, a te stroje, powozy, muzyki, a to całe nie moje bogactwo nie wychodziło mi z głowy. Z jedną taką zaczęłam się przyjaźnić, wieczorami się z nią po mieście włóczyłam, nasłuchałam się wtedy i naptrzyłam, ho! ho! Umieją ludziska żyć, umieją się kochać i bawić, rozumieją życie, ot co! Coś się wtedy we mnie tak podnosić zaczynało, że aż mnie brał zimny strach! Znienawidziłam te brudne sukienki, niezgrabne buciska, grube pończochy! Brr! Nożabym wzięła do ręki, i rabować szła!

— Anka... szepnąłem łagodnie.

— Nie taka ja, jak ty! Cierpliwości we mnie niema, nie! — wstała gwałtownie odsuwając stołek, i niespokojnie błądziła po pokoju. Dyszał teraz w jej głosie zaduszony gniew, czarne oczy silnie pałały. — Albo to warty co ten świat! Tyle wiele w nim dla siebie zagarniesz, wiele użyjesz! A ty... ha! ha! ha! — zaśmiała się nagle wysokim, nienaturalnym śmiechem — taka to i twoja hardość! Kraść trzeba było, ot co!

— Anka!

— Co, może nie?! Zdechniesz jak sobaka? To się lepiej z mostu rzucić odrazu!

— Może i lepiej.

— Cichobyś był! Taki młody! Przecieżeś pan młodszy odemnie! Życie masz. Wszystko mieć możesz! Eh!

— A ty?

— Ja? I ja swoje miałam. Wojna mnie zjadła, pieniądze przepadły, głupia byłam. Ale i teraz źle mi nie jest.

— Nie jest ci źle?

— Dziwi się pan? E, mój ty młody panie, jeszczem nie dziadówka i nie dla każdego. Żyję, jak chcę. Mam, co chcę. A co? Przeciężem coś warta!— stanęła blisko mnie, wyprostowała się. Pod boki wsparta, bujna i silna, z rumieńcami na twarzy i z płomiennym wzrokiem, nie wyglądała istotnie na ofiarę losu. Z przyzwyczajenia, snadź, uśmiechnęła się kusząco szelmowskim uśmiechem, sypnęła oczyma skry, i zawołała prawie wesoło:

— E, melancholik ty, ot co! Tak się życiu dać! Idealista! E, żeby nie to...

— To co?

— Tobyś za godzinę był mój, i jeszczebyś prosił sam!

Mimowoli zaczerwieniłem się. Umknąłem wzrokiem, i nie odpowiedziałem nic. Anka zaśmiała się znów wysokim swoim śmiechem, i nagle usiadła obok mnie. Kolanem i udem wyczułem jej silny kształt, i dziwnie drżący, prawie ostry, gorący dreszcz wstrząsnął mną niespodziewanie. Zaśmiała się znowu. Zuchwale wsunęła swą rękę pod kołdrę i wodziła nią po moich nogach:

— Biedaku, jakiżeś ty chudy! Porządnie cię musiało przycisnąć! Czekaj — zerwała się nagle — przecie kolację musimy zjeść. Już dziś możesz sobie pozwolić.

— Nie jestem głodny.

— Te, te, te! Nie róbno głupich ceregieli. Już jak nas spiknął los, to się możemy i w szczerość zabawić. Zresztą, co to można wiedzieć? Może i ty mnie kiedy pomożesz? Takie już życie!

— Taak.

— O, widzisz. Kiełbasa jest, masło jest i bułeczki też. A herbata będzie w mig. Wódzię mam damską, leciutką, możesz pić.

— Lepiej nie.

— Możesz. To rozgrzewa krew. Nie bój się nic. Jutro na miasto pójdziesz, wszystko dobrze będzie. No?

— Co?

— Za zdrowie się moje napijesz?

— Za twoje zdrowie? Dobrze.

— A, widzisz! A ja za twoje. Podobasz mi się. Jak wydobrzejesz, chudziaku, no no!

— To co?

— To będziesz tak spokojnie leżał? Chyba nie.

— Przecież. Nie będę tu leżał.

— Ładna wdzięczność. To zapomnisz o mnie?

— A, nie. Nigdy!

— Jakto mu te oczy błysły! Wierzę. No, czekaj! Napijemy się.

Napiliśmy się raz, wypiliśmy i drugi. Trunek podziałał na mnie obezwładniająco i usypiająco. Widziałem teraz twarz Anki i jej rozbłysłe oczy jakby przez lekką mgłę i jakby w pewnem znaczniejszem oddaleniu. I pokój jakby się rozszerzył i wypełnił błękitnawem, łagodnem światłem. Ułożywszy sobie odpowiednio poduszki siedziałem bardzo wygodnie, rozmawiałem z Anką wesoło i zapominałem powoli, jakie to było moje wczoraj, i jaka to niepewność czyha u progu dnia jutrzejszego. Aż i zapomniałem zupełnie, zupełnie, zupełnie. Parne ciepło rozlało się po moim ciele, a otumanienie i półsenne podniecenie owładnęło mózgiem. Śmiałem się razem z Anką, zgadzałem się z jej dziwacznem, skarłowaciałem i ciasnem pojmowaniem życia, i było mi dobrze.

— A czy ty myślisz, że ja odrazu tak poszłam na ulicę? Nie. Ani przecie nie byłam taka głupia, ani taka niedołęga. Jak, mówię ci, wszystką miękkość z siebie wypłakałam, jak się po świecie dobrze rozejrzałam, tak i wiedziałam, co robić. Rzuciłam ja tę swoją ciotkę, do magazynu poszłam. Ciężko było z początku, ale się oswoiłam.

No, i przyszedł jeden taki...

— Któż to był?

— A, ciekawyś? Młody był, ładny, prawie niezależny. Podobny był do ciebie — dokończyła niespodziewanie i z silną pasją, i natychmiast sięgnęła po kieliszek. Wypiła. Nie patrząc na mnie, owładnięta wspomnieniami, mówiła dalej, i rozumiałem wtedy jasno, że już mówić musi.

— A kochali my się, kochali, jakby i sami na świecie byli. Rozumiesz? Nic nas naprawdę nie obchodziło oprócz naszych spraw, o których nikt nie wiedział. Nakupił mi sukienek i bielizny, pończoszek i bucików, wszystkiego, wszystkiego, pokoik śliczny urządził, pracować nie dał. Myślisz może, żem jakie dziewicze ceregiele robiła? Nie, ja nie taka. Mnie tam o ślub nie szło, kiedym kochała. Czekaj, zaraz ci powiem, niech tylko sobie dobrze przypomnę... — automatycznym ruchem, z którego zapewne nie zdawała sobie sprawy, nalała znowu wódki, wypiła. Purpurowe rumieńce przelatywały raz wraz przez jej twarz, piersi oddychały gwałtownie, a oczy zamglił cichy smęt. Mówiła:

— Czekaj... Czekaj... Tak. Poznaliśmy się w sobotę. Już w niedzielę poszliśmy razem na spacer. W czerwcu to było, prześliczny był czas. Ano, nic. We mnie to aż wszystko grało i burzyło się, serce jakby kto w ręce trzymał, a usta to się paliły, a piersi, myślałam, rozerwie coś. Lecz cóż, głupia byłam, on też. Żeby był słowo powiedział, na szyjębym mu skoczyła, zacałowała. Usta, powiadam ci, krwawe miał, że te zęby aż śniegiem z za warg błyskały. Oczy miał, no, takie, jak ty, ale siła w nich była, hardość, duma, moc! Spojrzał, to cię już przejrzał, to cię już znał. A żar od niego aż buchał. Cudny był. Jużem potem takiego nigdy nie spotkała. Ale wtedy nic. W poniedziałek znowu przyszedł, we wtorek też, przychodził codziennie. Aż i przyszła niedziela. Wynajął powóz, pojechaliśmy za miasto. Gdzieś mnie tam zaprowadził nad jakąś wodę, w las. Cicho było, cudownie, cicho. Gadaliśmy i gadaliśmy, i nic. Aż tu i wieczór idzie. On mówi: czas i nie patrzy na mnie. Ale się z miejsca nie ruszał. Siedzi. Siedzę i ja, a dreszcz taki po mnie chodzi, a serce bije, a na ustach żar. Patrzę na niego. Cały się trzęsie. Blady. Jeno te usta jak krew. To już i nie wytrzymałam, objęłam go, całuję. Boże mój! Boże! Jakże mnie nie schwycił, jak nie objął, jak nie przycisnął! Serce się w piersiach tłucze jak dzwon, na oczach mgła, a na ustach usta jego! Trafił ręką na moją nogę, szarpnął suknię, zdarł. Wziął mnie tam pierwszy raz nad tą wodą... cicho było... całą tam noc... — zerwała się z miejsca blada, z rozszerzonemi oczyma. Pobiegła do okna, otworzyła je.

Byłem półprzytomny. Źle widziałem. Czekałem.

Wróciła. Znowu rumieńce płonęły na jej twarzy, a w oczach były skry. Usiadła na łóżku, obok mnie, ujęła moją rękę.

— I wiesz — szeptała prawie — i wiesz, żaden inny, żaden inny takiej mi nie dał rozkoszy. Szalałam ja pod nim, przytomność traciłam, szczęściem się spalałam. To i świata za nim nie widziałam, i zapomnieć nie mogę, nie... — dwie wielkie, błyszczące łzy bardzo powoli spłynęły po jej policzkach. Potem znowu dwie, i znowu dwie. Płakała bez szlochań, bez drżenia, w zupełnej dręczącej ciszy.

Nagle wstała. Chwyciła butelkę z wódką. Przyłożyła ją do ust. Piła chciwie, jak wodę. Zatoczywszy się gwałtownie, odrzuciła precz pustą butelkę, i szybko, niesłychanie szybko zaczęła się ubierać. Po upływie niespełna minuty była gotowa do wyjścia. Podeszła do drzwi.

— Anka — zawołałem.

Nie obejrzała się. — Głupiś! — syknęła z pasją i otworzyła drzwi. Poszła.

— — — — — — — — —

Oczom własnym wierzyć nie chciałem. Oto tam, za szybą redakcyjną „Ziemi" rozłożono właśnie nowy numer, a na jednej z kart widnieje najwyraźniej moje nazwisko: Tadeusz Łanowski. Tak jest. Tadeusz Łanowski. Utwory moje zajmują całe dwie strony, a numer jest tak rozłożony, że można przeczytać całość.

Nie, to nie do uwierzenia. Nie!

Nogi się chwieją podemną. Nie mogę zebrać myśli. Upływa długa, bardzo długa chwila zanim jestem w stanie zrozumieć, że teraz mogę iść do redakcji.

Idę.

Tam, na tych zawsze czystych redakcyjnych schodach, na półpiętrze umieszczono duże, piękne lustro. Przystanąłem...

...stoi przedemną człowiek w niemożliwie wyszarzanem i obszarpanem ubraniu, w potwornych butach, w okropnym kapeluszu. Kurtka zapięta szczelnie pod szyją — twarz blado-żółta, woskowa, podkrążone, wielkie, dziko płonące oczy. Wargi blade, bez krwi. Rysy wyostrzone, stare. Brr!

Nie, ja nie mogę iść do redakcji!

— — — — — — — — —

Stoję bezradnie. Jestem słaby, ale zdrów, nie jestem jeszcze głodny, więc widzę wszystko jasno tak, jak widzą inni ludzie. Nie mogę więc iść do redakcji.

Nagle ktoś kładzie rękę na mojem ramieniu.

— — — — — — — — —

— Pan Łanowski? —

— Tak jest, panie redaktorze. —

— Co się z panem dzieje? —

— Źle. —

— Widzę. Chorował pan?

— Tak. —

— Długo? —

— Bardzo długo. —

Redaktor Stefanowicz uważnie a spokojnie patrzy w oczy moje. Czerwone jeszcze jego wargi drżą dziwnie pod siwiutkim wąsem, a z rumianych, czerstwość i zdrowie zdradzających, lic powoli ucieka krew. Tak jest. Redaktor Stefanowicz, znany komedjopisarz, autor fars wesołych, znany w życiu szczęśliwiec i burżuj, zbladł jednak pod mym wzrokiem. Zresztą tylko na niedługą chwilę. Redaktorzy wielkich wydawnictw nie mogą tracić równowagi, zupełnie tak samo, jak kasjerzy wielkich firm nie mogą się mylić. Redaktor wymuszenie się uśmiecha i pyta:

— To choroba, którą opisał pewien wielki człowiek, Hamsun, prawda? —

— Tak jest — odpowiadam twardo — ta choroba nazywa się głodem. —

Rumieńce nie powróciły jeszcze na twarz redaktora. Przygryzł wąsa i poruszył się niespokojnie. Wycedził zwolna:

— Pan przeciesz wie, jak bardzo cenię pana i pańskie utwory. Dlaczego pan do mnie nie przyszedł? —

— Byłem. Nie dopuszczono mnie. —

— A...! Rozumiem. Proszę pana, jednak nie trzeba dawać się życiu, nie trzeba się... marnować. Trzeba się naprzód pchać. Trzeba pracować. Przecież pan pisze bardzo oryginalnie — ożywił się niespodziewanie — ma pan może jaką... powieść, romans, nowelkę dłuższą? —

— Mam. —

— Co? —

— Powieść. —

— Skończona? —

— Jeszcze nie. No, i przepisać trzeba. —

— Zamawiam ją. A teraz, na poczet przyszłego honorarjum i za dzisiejsze wiersze, proszę pana, no, trzysta złotych. Dobrze? Kwit mi pan jutro podpisze. —

— Panie redaktorze! —

— No, no! Bez wzruszeń. Jestem pewny pańskiej powieści. Tak, liczę na nią, liczę na pana. Phi! Takie przeżycie! —

Chowam niezręcznie pieniądze i nie wiem, co mam mówić. Ćmi mi się w oczach, czuję, że blednę. Słaniam się. Redaktor mnie podtrzymuje:

— No, no! Odwagi! Spokoju! Wszystko będzie dobrze. Uważaj pan, ktoś idzie! —

Ten ktoś wyszedł także z redakcji. Zbiegał po schodach szybko, nucąc wesoło. Podniosłem głowę.

— Turski! — mimowoli zawołałem.

Turski zatrzymał się przedemną. Jego śliczne błękitne oczy, dziecinnie patrzące z pod łuków czarnych, wspaniałych brwi, rozszerzyły się szczerem, bolesnem zdumieniem. Jakgdyby w sobie opadł, jakgdyby w tym momencie utracił nagle całą swoją radość. Znikł uśmiech wesoły z jego świeżych ust, i wargi jego drżały przez dłuższą chwilę, zanim nareszcie przemówił:

— Łanowski, Tadziu! Co to jest?! Panie redaktorze!

— Co to jest? Co to jest? — redaktor teraz zmieszał się najzupełniej. — No, cóż? Pogadacie sobie, co? Prawda? A przecież, do stu djabłów — wybuchnął niespodziewanie — nie ja jestem winien, że lepiej tu być szewcem, niż literatem, co? Powieść Turskiego kupiłem, powieść Łanowskiego kupuję. A wy młodzi! To się nie dajcie! — zaczerwienił się i uderzył laską o kamienną płytę. — Nie dajcie się! — z pasją powtórzył.

Uskrzydlona niewiasta w długiej, fałdzistej szacie, usiadła, głowę pochyliła, na dłoni ją wsparła, i patrzy. Czarne jej oczy błyszczą dziwnie pod wspaniałem, mocno sklepionem czołem, ściągnięte brwi bujne fałdują to czoło w zmarszczkę najgłębszej zadumy. Te oczy mają w sobie zaklętą wielką siłę, — siłę smętku, zrodzonego z rozważań rzeczy ostatecznych, siłę poprostu ostatecznej bezsiły ludzkiej wiedzy i trudów śmiertelnie nużących dociekań, okrutną siłę niepokonanej melancholji. Te oczy przykuwają. I panują. Ich przemoc władcza osnuwa mózg i duszę misternie splątaną siecią myśli i tęsknoty, prowadzi niepostrzeżenie aż na granicę tej ziemi i tych ludzi, i mówi, wyraźnie mówi: wy, którzy aż tu dotarliście, pogrzebcie wszelką nadzieję! Oto jesteście na skraju otchłani, która mówi swe śmiertelnie spokojne: nie wiem! Nie wiem! Jeżeli wszechświat jest kołem, którego centrum jest wszędzie, a obwód nigdzie, to jakżeż to człowieczym objąć rozumem?! A jeżeli jest choćby najpotworniejszą skończonością, jeżeli możnaby go obejść, to cóż jest poza tą skończonością?!

Usiadła niewiasta uskrzydlona w długiej, fałdzistej szacie, głowę na dłoni wsparła, i patrzy. I bezbrzeżny smutek płynie z jej czarnych, głębokich oczu.

Czy słyszysz szum wirujących słońc i gwiazd, czy słyszysz trzask pękających olbrzymów, czy odczuwasz straszliwe drżenie rodzących się światów, i lodową grozę potworów umarłych?

Czy cokolwiek wiesz?

Zapamiętaj sobie, człowiecze, zrozum i ukochaj naukę melancholji. Niekłamliwie i bez patosu ci powie, że dobrem najwyższem jest śmierć, wieczna ukoicielka małej nędzy ludzkiej, święta brama Nieznanego, piorun Boski, druzgocący potworną złudę materji!

— — — — — — — — —

— Wiesz, Turski, to dziwne! Ale jabym nie mógł mieć nad swoim stołem tej kopji Dürera.

— Dlaczego?

— Są myśli, które nieuchronnie budzi, a które wiodą na granicę obłędu.

— No?

— Pomyśl ! Zastanów się! Ale uczyń to szczerze, z wolą, całym sobą! Flammarion powiada, że aby zrozumieć wielkość takich potwornych światów, które nie mieszczą się np. między słońcem a ziemią, poprostu aby tylko zgrubsza pojąć te wielkości, trzeba zużytkować na to dłuższą chwilę, nie wiem, może minutę, może dwie. Potrafisz?

— Sprobuję — łagodnie uśmiecha się Turski.

— Otóż pomyśl, cóż my wiemy, czem my jesteśmy? Pomyśl, jeżeli świat jest kołem, którego centrum jest wszędzie, a obwód nigdzie, to jakżeż to pojąć? A jeżeli nie, jeżeli np. jest skończonością jak ziemia, to cóż jest poza tą skończonością?

Milczenie.

Turski nie patrzy na mnie. Mówi wreszcie cicho:

— Zdaje się, że zrozumiałem konieczność śmierci. Jest ona w każdym razie... wyzwoleniem.

(Ciąg dalszy nastąpi) *Wiktor Przecławski.*

ALFRED DE VIGNY.

MADAME DE SOUBISE.

(1572)

„Dwudziestego czwartego tego miesiąca dopełnienie upragnionego zamierzenia uwolniło świat chrześcijański od zarazy, której djabeł użył za narzędzie jego zguby. Pozostały przecie inne, od których niemało jest jeszcze szkody. Ów dzień przedziwne pocieszenie i folgę zgotował Kościołowi". *(Rzetelna i całkowita historja roztyrku,* przez brata de Laval).

I.

„Puszkarze! w pogotowiu mieć kule u moździerza!
Jeśli mnie wzrok nie myli, lancknetów oddział zmierza!
Człek każdy ma na piersiach rzęsiste krysy dwie:
Krzyże, nareszcie krzyże, i myślę: z ludzkiej krwie!
Jakoś już nadto późno; ani mnie to dzwonienie
Z kościoła Panny Marji nie mogło zbudzić do cna.
Długośmy wczoraj pili, zbyt długo, na zbawienie!
Ale też Bartłomieja czciła zabawa nocna.

II.

„Niech szpadę dają sługi,
Pistolet jeden, drugi,
Proch, który tęgo bije,
I szkaplerze na szyję.
Wysoko słońce stoi,
Luwr czarny jasno znaczy;
Już się wszystko zobaczy:
— Powiedzcie córce mojej,
Niechaj już schodzić raczy".

III.

To baron się wychyla za okna szalowanie;
Jego to jest osoba i własne rozkazanie.
A kiedy tak powiada, biegnijcie w tenże czas,
Łucznicy, piwniczowie, trabanci, ilu was.
Oto schodząca z wieży, na schodach u zakrętu,
Jawi się Marja - Anna; niech przyklękają pazie;
Sługi niech halabardy chylą do pawimentu,
Do stóp jej niech berety kłonią się raz po razie.

IV.

Do przejażdżek jej służy
Mierzynek, koń nieduży,
Bo straszą ją nad miarę
Rozżarte klacze kare.
Lecz ojciec jej dosiada
Dzianeta, który z pyska
Różową pianą pryska;
— „Nie wstyd ci, tak powiada,
Z łez czynić dziwowiska?

V.

„Pamiętaj, że ci dana krew wielka, z łaski nieba;
A nimbyś płakać miała, i to ci wspomnieć trzeba,
Że kiedyś w twoim synie mógłby nas dotknąć srom:
Że swem zajęczem sercem jeszcze mi shańbi dom.
A przeto podnieś głowę, a rąbkiem zasnuj oczy:
Oto ruszamy. Naprzód, giermki, w rogi uderzcie.
Z pomiędzy mgły przegląda Sekwana, kiedy toczy
Swoje fale czerwone... Chcę już je widzieć, wreszcie.

VI.

„— Widzisz, jak tam się zjeża
Klasztorny mur i wieża?
A wraz widne się stanie
Czarne królów mieszkanie.
Wjedźmy. Mijamy wartę;
Cóż cię straszy w tym dzwonie?
Drżą ci barki i dłonie,
Okno Króla otwarte,
Schyl się w pokłonie".

VII.

Baron przystaje, nogę opuszcza ze strzemienia,
I idzie do Królowej, kładąc znak odkupienia;
A córka, gdy w dziedzińcu siada na ławie, wtem
Postrzega jakieś ciało, ciśnięte tam o ziem.
— „Żyw jeszcze jestem, Pani, żyw jestem, i jak tuszę
Zatrzymasz się nademną, ani umkniesz mi dłoni;
A tak, ratunek dawszy, zbawisz i moją duszę,
Która mszy z dniem jutrzejszym słuchać się już nie wzbroni".

VIII.

Wzrokiem go Marja zmierza,
Hugonota, kacerza:
— „Paciórki święte moje
Zawdziej oto na zbroję,
Najświętszą proś Dziewicę,
Ja poproszę litości
U Króla Jegomości,
Bierz konia i gromnicę
I chodź, w mej przytomności.

IX.

Zaczem ku orszakowi w tym się zwraca rozkazie:
„Na płaszczu niech rannego corychlej złożą pazie".
Rzemienie mu odczepia, sama chyli się doń,
Swój kaptur aksamitny narzuca mu na skroń,
Relikwję wielką kładzie na ranie, w rzezi wziętej,
I tak powiada jeszcze, spokojnie, cale śmiele:
„Ten szlachcic, jak my wszyscy, rzymskiej wiary jest świętej.
Czemu i da świadectwo sam, przed Hostją, w kościele".

X.

— Patronie Eustachy!
Co za straszne watahy
Zaległy, jakie kupy,
Odrzwia Twoje i słupy?
Owe ciała bez trumien
Jakaż to siła wraża
Obnaża i znieważa,
Ciska jak snopy gumien
Od kruchty do ołtarza?!

XI.

O Boże, bądź nam wszystkim litościw tej godziny!
Toż to są na Twój obraz ludzkie córy i syny?
TE DEUM intonuje ciżba, chór wielki grzmi,
I szarpie motłoch serce pana de Coligny,
To serce, które wściekłość na bruku zeń wyrwała,
Zczerniałe, zakażone kalwińską złą nowiną.
Śmieją się, jedzą, krzyczą i ów krwawy strzęp ciała
Podają sobie, głosząc: oto Chleb jest i Wino.

XII.

A tam z hełmem na skroni
Xiądz pobożnie się kłoni
U obrusowej bieli
I czyta w Ewangielji.
A potem się trzy razy
Żegna, w śpiewie przystawa,
Zaczem i ciecz mu krwawa
Na te święte wyrazy
Wytryska, z za rękawa.

XIII.

I rzecze: „Strzymać słowo — rzecz słuszna i godziwa.
Szczędzić mieliśmy tego, który na mszę przybywa.
Widzę tu dwie owieczki, zbłąkane pośród nas:
Spokoju! nie zabijać ich tutaj: będzie czas.
Dopókąd są tu jeszcze, ma władza schron im dawa:
Zakazał Paweł Święty wzbraniać komu świątyni:
Każdemu jego dano: tutaj mnie sąd i prawa,
A potem już, w ulicy, inny swoje uczyni".

XIV.

— „Bez ojca wiadomości
Ja tu do Wielebności
(Anna nie chwyta wątku,
Raz drugi od początku
Zaczyna); jest przed Tronem,
Swą rzecz Królowej głosić;
A ja instancje wnosić
Chcę za panem dragonem,
Co też nie mieszka prosić".

XV.

„Zapóźno, rzecze ranny, czuję: umierać muszę,
Ciała mi nie zbawiłaś, chociaż mi zbawiasz duszę".
I dalej głos mu taki dobywa się z pod kryz:
„Jestem, Dostojna Pani, xiążęciem de Soubise.
Umrę tu papieżnikiem, lecz przysięgnij mi wiarę;
Niedługo tego będzie, bo tylko do wieczora;
Jestem w kościele waszym, dano mi pod tę miarę,
Jednakże stąd wychodzić już mi będzie nie pora.

XVI.

„Śmiertelną czuję mękę...
Mamże-li twoją rękę?"
— „Tak, oto moja ręka"
I chyli się, i klęka.
Dłonie stułą złączone
I jedno wysilenie,
Nim rannego spojrzenie
Jeszcze objęło żonę.
Upadł na kamienie.

Takim to trybem Anna została xiężną panią;
Dobrami zasię temi, co wraz i spadły na nią,
Przydawszy jeszcze k'temu własnych dostatków wbród,
Wspomogła Jezusowe Bractwo, dla jego cnót.
Mdłe serce w swym zamęcie ani żyć długo może,
Ani potrafi walczyć z tą troską nieustanną!
Śród Panien Świątobliwych, w Saintonge, zmarła [w klasztorze.
Dwadzieścia lat przeżyła, wdową była i panną.

Przełożył TADEUSZ NEWLIN - WAGNER.

HISTORJA ZAKŁADU LECZNICZO-SZKOLNEGO DLA INWALIDÓW WOJENNYCH w KRAKOWIE.

od 10.VII 1915 do 31.XII 1923.

Zawdzięczając niezwykłej uprzejmości W. Pana Dyrektora Tora(który dostarczył nam tych ciekawych materjałów, rozpoczynamy druk „Historji" w nadziei, że zainteresuje ona naszych czytelników. W Panu Dyrektorowi Torowi raz jeszcze składamy serdeczne podziękowanie.

Redakcja.

I.

Powstanie Szkoły inwalidów woj. w Krakowie.

Jedną z najcięższych klęsk, jakie wojna światowa na strony walczące sprowadziła, było zniszczenie zdrowia i zdolności zarobkowej miljonów uczestników wojny. Ludzie najzdrowsi, najsilniejsi, wykształceni w swych zawodach, podpory rodziny i nadzieje Ojczyzny szli, by spłacić ten najcięższy podatek państwowy, bo podatek krwi i wracali kalekami, niezdolnymi do pracy wogóle, lub do pracy w swoich zawodach. Wracali zdemoralizowani tą krzywdą, jaka ich spotkała, rozgoryczeni, wrogo usposobieni do społeczeństwa i do własnego otoczenia. Miało to miejsce wszędzie na świecie, cóż dopiero w Polsce, gdzie wypadało tym naszym żołnierzom walczyć dla obcych, nieraz wrogich im spraw, gdzie wypadało im walczyć przeciwko własnym braciom, gdzie do boju prowadzili ich obcy im narodowością i nieznający języka ich przełożeni.

Liczba tych kalek od początku wojny rosła tak katastrofalnie, że rządy państw walczących i społeczeństw, które początkowo ograniczały się jedynie do leczenia rannych żołnierzy i niesienia im ulgi moralnej i materjalnej w czasie leczenia w szpitalach, przystąpiły planowo do opieki nad inwalidami.

Rządy, zajęte sprawami wojny, traktowały tę sprawę raczej ubocznie — lecz wnet pośpieszyły rządowi z pomocą jednostki ze społeczeństwa pełne dobrej woli i inicjatywy, wnosząc do sprawy pierwiastek obywatelski.

W ten sposób przy współudziale czynników rządowych i społeczeństwa, przy opiece rządu zabrano się w b. Monarchji austrjackiej w prowincjach zachodnich do akcji społecznej na rzecz inwalidów wojennych. Początek tej akcji przypada na ostatnie dni 1914 r. i początek 1915 r. — w którym to czasie powstały szkoły inwalidów wojennych w Wiedniu i Pradze.

Akcja na rzecz inwalidów wojennych w Małopolsce opóźniła się wskutek wypadków wojennych o kilka miesięcy. Dopiero wyniki ofenzywy majowej w r. 1915 państw centralnych przeciw Rosji umożliwiły Komendzie Twierdzy w Krakowie zrealizowanie na korzyść opieki nad inwalidami planów już przedtem obmyślanych.

Rozkazem Twierdzy Kraków z dn. 10 lipca 1915 r. R. 192 została utworzoną i otwartą Szkoła inwalidów woj. w Krakowie w budynkach miejskich przy ul. Smoleńsk L. 7 i L. 9, mieszczących w sobie Miejskie Muzeum przemysłowe i miejską szkołę ludową.

Jako cel szkoły postawiono doleczanie i szkolenie inwalidów wojennych, urodzonych i przynależnych do Małopolski, bez różnicy wyznań i narodowości.

Nowo założoną szkołę inwal. woj. podporządkowano w całym zakresie działania Dowództwu Twierdzy, zaś później Dowództwu wojskowemu (Militär-Komando) w Krakowie, wyjąwszy kierownictwo pedagogiczno - dydaktyczne oddziałów przemysłowych, które podporządkowano Ministerstwu Robót Publicznych.

Ministerstwo Robót Publicznych uznało Szkołę inwalidów wojennych w Krakowie jako taką reskr. L. 26015/21 c. z dn. 14 maja 1916 r. na podstawie rozporządzenia cesarskiego z dn. 7 grudnia 1915 r. Dz. Ustaw Państwa Nr. 364.

Równocześnie powierzono Kierownictwo pedagogiczno - dydaktyczne szkolenia przemysłowego radcy Bandrowskiemu, Dyrektorowi Państwowej Szkoły przemysłowej w Krakowie, zaś szkolenie rolnicze Dr. Rogoyskiemu, prof. Uniwersytetu Jag.

W ten sposób Szkoła inwalidów woj. stała się

instytucją państwową z właściwą organizacją wojskową, gdzie kierunek naukowy pozostawał w rękach fachowych najtęższych sił cywilnych.

Na dowódcę Szkoły powołano rozkazem z dnia 10.VII 1915 r. Nr. 192 płk. lek. Dr. Bronisława Kadera, prof. Uniwersytetu Jag. i dyrektora kliniki chirurgicznej.

Był to jeden z najenergiczniejszych twórców i organizatorów Szkoły inwalidów woj. Prof. Dr. Kader dzięki swemu charakterowi, który nie uznawał trudności nie do zwalczenia, dzięki swemu stanowisku społecznemu i wpływowi w sferach decydujących, przy pomocy b. arcyksięcia Stefana Habsburga z Żywca, jako pierwszy Dowódca Zakładu rozwinął owocną działalność i wyjednawszy wiele koncesyj położył podwaliny Szkoły, umożliwiając przez to późniejszy rozwój Szkoły i nadanie jej cechy Zakładu wojskowo-naukowego, mającego za zadanie doleczać i szkolić inwalidów w obranym przez nich zawodzie i podnieść przez nich utraconą zdolność zarobkową, by zwrócić społeczeństwu jednostki ukwalifikowane, zdrowe fizycznie i moralnie.

Następcą prof. Dr. Kadera na stanowisku dowódcy Szkoły od lutego 1916 r. do końca lipca 1917 r. był pułkownik Glasner, niemiec czeski, który odnosił się do narodowości polskiej życzliwie i z właściwą swej rasie pedanterją i energją przyczynił się wielce do rozbudowy Zakładu, wprowadzając dyscyplinę wojskową o poszanowanie władzy i przełożonych. Za jego czasów wprowadzono w Zakładzie przymus naukowy. Inwalidów ciężkich, zaniedbujących się mimo upomnień w nauce, wydalano z Zakładu, zaś inwalidów lżejszych oddawano do kolumny taborowej celem spełniania posług w oddziele. Zarządzenie to wydało dodatnie wyniki, tak z korzyścią dla inwalidów, jak i Zakładu.

Po pułk. Glasnerze objął komendę Szkoły gen. ppor. Wiktor *Past* (od sierpnia 1917 do lutego 1920 roku) — następnie pułk. Feliks Wereszczyński (od lutego 1920 r. do października 1920 r.), po którym objął Komendę Szkoły mjr. Stanisław *Piotrowski* (od października 1920 r. do końca listopada 1921 r.). Mjr. *Piotrowski* sam będąc inwalidą, pracując w Szkole Inwalidów jako komendant Oddziału przemysłowego i w Gen. Ekspozyturze Sekcji Opieki M. S. Wojsk. jako adjutant i szef kancelarji Komendy, miał szczególne kwalifikacje do prowadzenia Zakładu.

W listopadzie 1921 r. została Szkoła inwalidów woj. rozkazem Min. S. Wojsk. O. Szt. L. 8640/Org. z dnia 30 sierpnia 1921 r. przemianowana na Zakład leczniczo - szkolny dla inwalidów wojsk., a na czele Zakładu stanął ppłk. lek. Dr. Kazimierz *Habicht*, który do dziś dnia pozostaje na tem stanowisku jako Komendant wprowadzonego Zakładu leczn. protez. w myśl rozporządzenia M. S. Wojsk. dodatek tajn. Nr. 1 do Dz. rozk. Nr. 1/23.

Wreszcie pismem M. S. Wojsk. Dep. VIII San. I dz. 19547/23 III. Sup. Inw. oddano szkolenie inwalidów Ministerstwu pracy i opieki społecznej. Przejęcie Zakładu nastąpiło 31.XII 1923 r.

Obok samej szkoły inwalidów oddała Komenda Twierdzy dla celów leczniczych inwalidów specjalny szpital, który jako główny szpital rezerwowy c. i k. Szkoły inwalidów w Krakowie objął opiekę lekarską nad inwalidami i gdzie równocześnie rozpoczynało się szkolenie inwalidów, o czem poniżej wspomnę.

Szpital ten podlegał pod każdym względem Komendzie Szkoły. W szpitalu tym wprowadzało się wszelkie zabiegi lekarskie, operacje, miesienie, leczenie gorącem powietrzem, elektryzację, gimnastykę leczniczą i t. d. — tutaj również odbywała się kontrola lekarska przed superrewizją inwalidów.

Poszczególne oddziały Szkoły inwalidów umieszczone w oddzielnych budynkach, miały także swoje Izby chorych i przychodnie dla chorych, umożliwiając inwalidom przeprowadzanie bez straty czasu potrzebnych zabiegów.

Komenda Twierdzy przenosiła z innych szpitali inwalidów, potrzebujących specjalnego leczenie i doleczania, do szpitala inwalidów.

Z leczenia ortopedycznego korzystali inwalidzi w szpitalu garnizonowym L. 15 i w Krak. Zakładzie Zanderowskim (Zakładzie prywatnym), który był prowadzony w zarządzie wojskowym.

Już z końcem 1915 r. założyła Komenda Twierdzy przy Klinice chirurgicznej Uniwersytetu Jag. przy szpitalu garnizonowym Nr. 15, warsztaty protezowe, które już do końca roku 1916 wykonały: Protez nożnych 590, ręcznych 58, innych aparatów ortopedycznych 238 i 605 par bucików ortopedycznych, z których 236 par wykonano na oddziele przemysłowym samej szkoły.

Jeszcze w roku 1916, założyła Komenda Twierdzy Kino „Opieka", które przy rozpadzie Austrji objęła Krajowa Komisja Opieki nad inwalidami, po zlikwidowaniu zaś samej tej Komisji w r. 1919, prowadziła tę instytucję Gen. Ekspozytura Sekcji Opieki, a w dniu 31. XII. 1923 r. objęło Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej z tem, że ma ją oddać Związkowi inwalidów w Krakowie.

— — — — — — — — —

Z początkiem 1916 r. obok opieki ze strony władz wojskowych, której organizację powyżej w krótkich słowach przedstawiłem, a którą gorąco popierał ówczesny Dowódca Twierdzy gen. K u k — zawiązała się Krajowa Komisja Opieki nad inwalidami woj., którą zorganizował radca Namiestnictwa *Gustaw Brückner*

na podstawie reskr. Min. Spraw Wewnętrznych we Wiedniu.

Przewodniczącym Krajowej Komisji był każdorazowy Namiestnik Galicji, w skład zaś Komisji wchodzili powołani przez niego członkowie, tak wojskowi, jak i cywilni. Komisja dzieliła się na trzy wydziały wykonawcze we Lwowie, Przemyślu i Krakowie. Każdy Wydział miał swój Komitet Wykonawczy.

Zadaniem Komitetów było uruchomienie szkół dla inwalidów woj. względnie specjalnych kursów. Dalszym obowiązkiem Komitetów było zajmowanie się pośrednictwem pracy, oraz udzielanie pieniężnej pomocy inwalidom na otwarcie warsztatów i t. d.

Sił fachowych dla celów Komitetów dostarczały władze wojskowe z pośród reklamowanych na wniosek Komisji.

Funduszów, względnie bardzo znacznych dostarczało Min. Spr. Wewn. później zaś Min. Opieki Społ. oprócz tego Komisja urządzała zbiórki publiczne, kino dawało pokaźne dochody, wreszcie Komisja urządzała sprzedaż różnych odznak, ówcześnie bardzo poszukiwanych, z czego płynęły znaczne dochody.

Staraniem tejże Komisji Krajowej urządzono dwukrotnie sezon kuracyjny dla chorych w Krynicy i urządzono Sanatorjum w Rajczy, darowane na ten cel przez arcyksięcia Stefana Habsburga z Żywca.

Po upadku państwa austrjackiego Komisja Krajowa urzędowało do wiosny 1919 r. W maju rozpoczęła się likwidacja Krajowej Komisji, w Krakowie zaś zlikwidowano Komitet miejscowy w lipcu 1919 r., przyczem Wydział Wykonawczy tego Komitetu oddał Gen. Ekspozyturze Sekcji Opieki M. S. Wosjk. wszystkie dotąd przez Komitet prowadzone sprawy, odnoszące się do szkolenia inwalidów wraz z inwentarzami, maszynami, zapasami i t. d.,dalej oddał gospodarstwo wzorowe w Rakowicach wraz z inwentarzem żywym, martym, zapasami i t. d.

Działalność Wydziału Wykonawczego Krajowej Komisji Opieki nad inwalidami Obwodu wojsk. w Krakowie była od początku ukonstytuowania się tego t. zn. od dnia 2. V. 1916 r. bardzo rozległą. We wszystkiem spełniał tu Wydział w najściślejszem porozumieniu tak z władzami wojskowemi jak i cywilnemi, obowiązki na siebie przyjęte, a przedewszystkiem urządzał kursa w najrozmaitszych kierunkach i tutaj współpraca Komisji Opieki nad inwalidami z wojskowością była tak ścisła, że dzisiaj retrospektywnie rzecz biorąc, trudno oznaczyć od kogo wychodziła inicjatywa zakładania nowych kursów, kto je prowadził, ile Komitet dawał pieniędzy na zakupy narzędzi, materjałów i t. d.

Podnieść tutaj muszę, że całe społeczeństwo z najwybitniejszemi jednostkami na czele zajmowało się gorąco sprawą opieki, a szczególniej sprawami Szkoły inwalidów i że zapał ten zaczął gasnąć dopiero od roku 1919, kiedy to Magistrat m. Krakowa zaczął uruchamiać szkoły i wskutek zapotrzebowania gmachów szkolnych, zajętych dotychczas przez Zakłady inwalidzkie, żądał opróżnienia ich i oddania tych gmachów dla właściwych ich celów.

Od chwili założenia Szkoły funkcjonowało przy niej biuro „Opieki socjalnej", którego zadaniem jest wszechstronna opieka społeczna i prawna nad inwalidami, w szczególności uzyskiwanie dla nich zapomóg - odszkodowań za szkody i świadczenia wojenne, wyrabiane dla nich uprawnień przemysłowych, posad, uzyskiwanie środków materjalnych względnie zasiłków na założenie warsztatów, lub handlu i w tym zakresie szły czynniki ze społeczeństwa i wojskowości na rękę Krajowej Komisji i przez późniejsze założenie Towarzystwa Zagród dla polskich inwalidów im. Tadeusza Kościuszki.

Działalność tak szkoły jak i instytucyj wyżej wymienionych, mająca na celu opiekę nad inwalidami, była nader rozległa i z żalem dzisiaj stwierdzić wypada, że nawet w przybliżeniu nie można podać liczby inwalidów, którzy z dobrodziejstw tej działalności korzystali, gdyż żadnych sprawdzań z lat poprzednich nie zachowano, względnie, o ile takowe były, to zaginęły w czasie upadku Austrji i w czasie tak częstych przenosin się Zakładów i Komendy za czasów polskich.

Pierwsze sprawozdanie, które da się zużyć pochodzi z roku szkolnego 1921, i to nie jest wystarczającem do statystyki, gdyż w sprawozdaniu tem wzięto liczbę inwalidów według przeciętnego stanu wyżywienia, wskutek czego nie ma się dokładnego obrazu, ani frekwencji inwalidów, ani wyników szkolenia w tymże roku.

Właściwe sprawozdanie statystyczne pochodzi z roku szkolnego 1921/22 i 1922/23 i trzecie od sierpnia 1923 do 31. XII. 1923 t. zn. do chwili oddania Zakładu szkolenia Min. Pracy i Opieki Społecznej.

II.
ORGANIZACJA SZKOLENIA.

Już w szpitalu każdy inwalida był obowiązany do pracy i nauki. Prowadzono naukę dla analfabetów, udzielano nauki w zakresie szkoły ludowej, prowadzono naukę pisania dla leworękich, bezrękich, jąkających się i znowu niestety dzisiaj nawet w przybliżeniu powiedzieć się nie da, ilu inwalidów z tej nauki korzystało.

Oprócz kształcenia się umysłowego, każdy inwalida musiał pracować fizycznie, żeby z jednej strony zająć chorych i nie dać czasu do rozmyślań i do rozpaczy z powodu swego kalectwa, z drugiej strony działano w ten sposób terapeutycznie, uprawiając pracą terapię ruchową.

Chorzy, leżący w łóżkach i nie mogący wychodzić musieli obowiązkowo uczyć się i wykonywać następujące roboty:

Haftowanie perełkami szklanemi,
Wyrób guzików niciany ch,
Roboty węzełkowe,
Wyrób trykot, rękawiczek włóczkowych i pończosnictwo,
„ ozdób na drzewko,
„ umber do lamp,
„ łyżek drewnianych,
„ naczynia kuchennego,
„ zabawek,
„ artykułów do gier towarzyskich w ogrodzie,
Malowanie na drzewie,
Wyroby z łyka,
Wycinanki i sklejanki z papieru,
Wyroby plecionek,
„ siatkowe,
„ dywaników,
Snycerstwo drzewne i galanterja drzewna,
„ galanteryjne,
Rysunki,
Wycinanki sylwetek,
Zdobnictwo malarskie na pudełkach,
Malarstwo intarsowe,
Wyrób towarów glinkowych.

Dla inwalidów mogących chodzić uprawiano gimnastykę i naukę chodzenia dla amputowanych, i kto tylko się nadawał musiał się uczyć już w szpitalu stolarstwa, ślusarstwa, szewctwa, lub krawiectwa w małych warsztatach na ten cel przeznaczonych.

Roboty te, które można zakwalifikować jako przemysł domowy, a które, jak wspomniałem miały uprzyjemnić i skrócić czas pobytu w szpitalu, były prowadzone pod kierunkiem dyrektora Ligi Pomocy Przemysłowej Józefa Olszewskiego i doczekały się na wiosnę 1917 r. specjalnej wystawy w lokalu Ligi Pomocy Przemysłowej.

Po ukończeniu leczenia szpitalnego inwalidę przenoszono do właściwej Szkoły inwalidów.

Przedstawiony Komisji Porady zawodowej, która orzekała w jakim kierunku inwalida ma być kształcony, musiał rozpocząć pracę próbną.

Przy Komisji porady zawodowej, w której, oprócz lekarzy i komendanta, brali udział fachowcy, jak kierownik oddziału przemysłowego i kierownik oddziału umysłowo - kształcących się inwalidów — dalej przedstawiciel z biura opieki społecznej, kierowano się stale tą zasadą, żeby inwalida pozostawał przy pierwotnym swym zawodzie, lub conajmniej przy pokrewnym, licząc się z zdrowiem t. j. rodzajem inwalidztwa badanego.

Wychodząc z tego założenia i przyjmując na podstawie dat statystycznych, że około 65% inwalidów w Małopolsce rekrutuje się z pośród rolników, a około 35% przypada na przemysł i inne wolne zawody, Komenda Twierdzy wprowadziła naukę gospodarstwa rolnego obok działu przemysłowo - rękodzielniczego.

Komenda Twierdzy w Krakowie w październiku 1915 r. przydzieliła Szkole inwalidów t. zw. „Stary Dwór" w Mydlnikach z budynkami obszernemi i obszarem ziemi około 14 - morgowym, zajęty dotychczas przez wojskowość na podstawie austr. ustawy o świadczeniach wojennych.

Komenda bezwłocznie przystąpiła do zorganizowania oddziału rolniczo - ogrodniczego w Mydlnikach, stawiając sobie za cel, by inwalidów wojennych okaleczałych, lub też protez używających *do ich zawodu rolniczego wprowadzić* i do pracy zachęcić, przytem terapja pracy, jakoteż pewien przymus wojskowy miały współdziałać i przyczynić się do uzdrowienia fizycznego i moralnego inwalidów - wychowanków mocno pod wpływem ogólnej psychozy wojennej dotąd pozostających.

Poziom kursów teoretyczno - praktycznych starano się dostosować do inteligencji wychowanków, którzy pod tym względem wiele pozostawiali do życzenia. Dlatego też obok nauki czysto fachowo - rolniczej udzielano wychowankom wiadomości ogólno - kształcących przy szczególniejszem uwzględnieniu historji i geografji Polski.

Początkowo urządzano 4 - miesięczne kursa, poczem nadano im charakter *rocznej* niższej szkoły rolniczej i nauka trwała od września do połowy lipca następnego roku.

Plan naukowy obejmował następujące przedmioty: rolnictwo, hodowla bydła, sadownictwo, warzywnictwo, pszczelnictwo i nauki ogólno - kształcące. Prócz nauki teoretycznej odbywali uczniowie inwalidzi ćwiczenia praktyczne, biorąc udział w jesiennych i wiosennych robotach polnych, przy gospodarstwie rolnem przy Zakładzie utrzymywanem.

W miesiącach zimowych odbywała się przeważnie nauka teoretyczna, zaś w wiosennych i letnich kładziono główny nacisk na naukę praktyczną, konieczną przy nauce rolnictwa zwłaszcza, że frekwentanci tego kursu stali na dość niskim poziomie umysłowym. W nauce tej starało się Kierownictwo zaznajomić inwalidów z wszelkiemi najnowszemi zdobyczami wiedzy rolniczej, pokazując im najrozmaitsze sposoby uprawy zboża i roślin okopowych. Ponieważ zakładowe gospodarstwo było zbyt szczupłe, by można było okazać praktycznie najnowsze zdobycze rolnictwa, przeto korzystano z wzorowego gospodarstwa rolniczego przy Studjum rolniczem Uniwersytetu Jagiellońskiego, prowadzonego przez D-ra Waśniowskiego w Mydlnikach.

Nauka sadownictwa, warzywnictwa i pszczelnictwa odbywała się również teoretycznie i praktycznie, tak by inwalidom dać możliwie wszechstronne wiadomości w tym kierunku. W tym celu Zakład utrzymywał wzorowy ogród warzywny, szkółkę drzew owocowych, sad i pasiekę.

Pierwszym komendantem oddziału rolniczego w Mydlnikach i organizatorem kursów był por. Stanisław Konopka, właściciel ziemski w Mogilanach, a wykładowcami por. Franciszek Kośmider zawodowy rolnik z akademickiem wykształceniem, oraz sierżant Franciszek Marszałek, kierownik szkoły powszechnej w Kryspinowie.

Ludzie ci dokładnie pojęli zadanie i znaczenie kursów rolniczych dla społeczeństwa polskiego i odrazu nadali im należyty kierunek.

Po wyreklamowaniu por. Konopka i objęciu przez tegoż stanowiska wiceprezesa Towarzystwa rolniczego w Krakowie, objął komendę Oddziału rolniczego por. Ferdynand Wolf, wprawdzie niemiec, ale fachowiec rolnik i leśnik, który wprowadził do planu naukowego dużo nowych myśli, jak np. przeróbkę jarzyn i owoców.

W chwili powstania Polski objął komendę oddziału rolniczego por. Kośmider (powyżej wspomniany wykładowca), który prowadził kursa do lipca 1920 r. poczem odszedł do służby na front bolszewicki.

Po por. Kośmiderze objął komendę por. Gustaw Lęcznerowicz, który prowadził ten kurs aż do oddania go Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej t. j. do lipca 1922 r. Wykładowcami w ostatnich latach byli pp. Tadeusz Sulikowski, agronom z uniwersyteckiem wykształceniem (rolnictwo) i Stanisław Rokita nauczyciel szkół powszechnych (warzywnictwo, sadownictwo, pszczelnictwo). Kuratorem tych kursów był D.. Rogoyski, a następnie (od 1920 r.) Dr. Stefan Surzycki, obaj profesorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ruch inwalidów na oddziele rolniczym, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia, był wielki, tak, że na wiosnę 1916 r. zaszła potrzeba założenia filji w Rakowicach, która miała za zadanie odciążyć Mydlniki z elementu niedość przygotowanego do pobierania teoretycznej nauki rolnictwa na kursach w Mydlnikach.

Chcąc określić liczbę inwalidów - uczniów kursu rolniczego, należy podzielić istnienie tego kursu na dwa okresy: *I — od otwarcia tego kursu do końca 1916 r.*

W tym okresie wszystkich inwalidów, opuszczających szpital, a pochodzących ze wsi i nie nadających się do kompanji uzdrowieńców, umieszczano w szkole w Mydlnikach, względnie w Rakowicach, gdzie przez 4 miesiące przechodzili kursa rolnicze metodą „wykładów wędrownych", przyczem inwalidzi przechodzili kurs nauki szkolnej w zakresie szkoły ludowej i odbywali praktyczne ćwiczenia w ogrodzie i w polu.

W Mydlnikach przeszło przez taki kurs do roku 1916-tego 368 inwalidów, zaś w Rakowicach w tym samym okresie 956 inwalidów, zupełnie zaś wyszkolonych, którzy widocznie dłużej byli w szkole, wyszło w tym czasie 148 (według sprawozdań Krajowej Komisji Opieki nad inwalidami za rok do 31.XII.1916 r.).

Od r. 1917-go zaczął się drugi okres.

W tym roku zmieniono te kursa rolnicze na jednoroczną szkołę typu niższej szkoły rolniczej. Frekwencja wynosiła do roku szkolnego 1920/21 przeciętnie 40 inwalidów, z których z końcem roku 1920/21 zdało egzamin 32 inwalidów. W roku szkolnym 1921/22 przyjęto na ten kurs 17 inwalidów, z tych w ciągu roku ubyło 7, egzamin zaś zdało 10 inwalidów. Razem więc przez ten kurs rolniczo - ogrodniczy przeszło 1.674 inwalidów.

W pierwszych dniach lipca każdego roku składali uczestnicy kursu egzamin przed komisją egzaminacyjną, złożoną z kuratora (profesora Uniwersytetu, jak wyżej), Delegata Krajowej Komisji Opieki nad inwalidami, względnie (po utworzeniu Gen. Ekspozytury S. O. Min. Spr. Wojsk.) Szefa Gen. Eksp. S. O., dowódcy szkoły niwalidów, oraz wykładowców. Egzaminowani otrzymywali świadectwa wedle uzdolnienia.

Ukończenie kursu rolniczego kwalifikowało inwalidów do objęcia posad pomocników gospodarczych przy większych gospodarstwach rolnych, do samodzielnego prowadzenia racjonalnej gospodarki małorolnej, co ze względu na reformę rolną i kolonizację kresów wschodnich ma wielkie znaczenie społeczne. Absolwenci kursów wracali przeważnie na własne gospodarstwa, część otrzymała posady w gospodarstwach folwarcznych i to na dobrych warunkach.

Kursa rolnicze, jakoteż gospodarstwo rolne było przez cały czas finansowane i kierowane przez władze wojskowe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REWIZJE KONCESYJ I WARSZTATY PRACY DLA INWALIDÓW.

Na terenie Państwa Polskiego jest zgórą dwieście tysięcy inwalidów wojennych i drugie tyle wdów oraz sierot po poległych i po inwalidach. Dziewięć dziesiątych tej olbrzymiej rzeszy ofiar wojny znajduje się w opłakanych pod względem materjalnym warunkach, gdyż wojna zabrała im wszystko, co mogło być podstawą ich dobrobytu, a przedewszystkiem zrujnowała ich siły i zdrowie.

Pobierane przez mniej niż połowę tej prawie półmiljonowej masy renty, nie wystarczają nawet na czarny kawałek chleba. Jedynym więc sposobem do polepszenia ich nieszczęsnej doli mogą być warsztaty pracy, odpowiednio do ich nadwątlonego zdrowia przystosowane, to jest nie wymagające dużej siły i specjalnych kwalifikacyj. Za najbadziej odpowiednie „warsztaty pracy" uznano przedsiębiorstwa monopolowe, koncesjonowane. Ponieważ ilość ich jest ograniczona, więc nie są one narażone na silną konkurencję, przez co mogą być śmiało eksploatowane nawet przez niezupełnie wykwalifikowanych inwalidów, względnie wspólnie z „fachowcami".

W początku 1923 r. poseł dr. Polakiewicz złożył w Sejmie wniosek w sprawie cofnięcia koncesyj obecnym ich posiadaczom, a nadania ich t. zw. uprzywilejowanym, t. j. inwalidom, wdowom wojennym i t.p. Jednak zakulisowe wpływy działały wszelkiemi środkami, by sprawę rewizji koncesyj odkładać. Ostatecznie po dłuższej akcji, przeprowadzonej na terenie Sejmu i poza nim, w dniu 27 grudnia 1924 r. wyszło rozporządzenie Prezydenta Rzeczyp., postanawiające przeprowadzenie w przeciągu dwóch lat rewizji koncesyj monopolowych i nadania ich osobom uprzywilejowanym, czyli inwalidom, wdowom wojennym i t. p.

To był pierwszy zwycięski akt długotrwałej i uporczywej walki ofiar wojny o warsztaty pracy i kawałek zapracowanego przez nich chleba. Wkrótce okazało się jednak, że pierwsza część tej kampanji (zdobycie rozporz. Prezyd. Rzeczyp.) nie jest wcale najważniejszą częścią walki, bo oto rozpoczęły się konszachty pomiędzy ówczesnym rządem a Klubem Żydowskim i w związku z tem t. zw. ugoda polsko - żydowska, która przekreśliła rewizję koncesyj.

W takiej sytuacji członkowie Wydz Wyk. Zw. Inw., pos. dr. Polakiewicz i Z. Szymański rozpoczęli ponowną akcję o wykonanie, będącego dotychczas „na papierze", rozporz. Prez. z grudnia 1924 r. Przedewszystkiem udali się do ministra Skarbu p. Czechowicza, od którego otrzymali przyrzeczenie stopniowego wykonania rewizji koncesyj, a następnie do p. Prezydenta Rzeczypospolitej, któremu szczegółowo przedstawili obecny stan sprawy inwalidzkiej. Otrzymawszy od p. Prezydenta zapewnienie pomocy i poparcia, delegacja odbyła cały szereg konferencyj w Ministerstwie Skarbu, w wyniku których został opracowany okólnik o przystąpieniu do wypowiedzenia koncesyj dotychczasowym ich posiadaczom.

Tak więc, okres długotrwałej i zaciekłej walki zbliża się ku końcowi, a inwalidzi otrzymali możność posiadania pewnego rodzaju warsztatów pracy, zabezpieczających im byt materjalny.

Oby tylko jakieś zakulisowe wpływy, a przedewszystkiem szacherki z Klubem Żydowskim, nie stwarzały nowych trudności. W każdym bądź razie ani Klub Żydowski, ani też sami koncesjonarjusze (nieuprzywilejowani) na poparcie swego, wrogiego względem inwalidów, stanowiska nie mogą wysunąć ani jednego poważnego argumentu. Inwalidzi wojenni, wdowy i sieroty po poległych wysuwają argument ofiary życia i krwi.

INWALIDZI W MAŁOPOLSCE.

Krakowskie Zjazdy.

W dniach 7 i 8 sierpnia b. r. odbyły się w Krakowie dwa zjazdy inwalidzkie: zrzeszeń i kół woj. krakowskiego, oraz delegatów kół i grup całej Małopolski. Odbyły się te obrady w pięknej siedzibie Muzeum Przemysłowego, którego Dyrekcja (w osobie W. Pana Dyrektora Tora) z tak zawsze niezmienną i niezwykłą życzliwością odnosi się do prac i zrzeszeń społecznych. Zjazdy się udały. Poważny nastrój, wzorowy porządek, doskonałe przemówienia i referaty przynoszą zaszczyt organizatorom i członkom. Nieliczni goście warszawscy szczerze zauważyli, że — niestety — na terenie warszawskim (Koło Warszawskie!) tak udane i spokojne obrady rzadko mają miejsce.

Przewodniczył Dr. St. Prostak (prezes Koła Krakowskiego i Zarz. Woj. Krak.) ze zwykłym swym spokojem i powagą. Obecnym był również prezes Wydziału Wykonawczego, p. Kantor, który w drugim dniu zjazdu wygłosił dłuższy referat.

Sprawą palącą była, jak zwykle, sprawa zaopatrzenia, sposoby wypłaty, przez Izby Skarbowe „używane" i konieczność walki z temi sposobami. Wystarczająco jaskrawe światło rzucają na te sprawy uchwalone rezolucje, które poniżej przytaczamy. Ze swej

strony chcemy także stwierdzić fakt, że przedstawiciele Izby Skarbowej nie umieli zbić postawionych zarzutów, winę całą chętnie przypisując... stolicy. Dziś cieszymy się, może niezłudną nareszcie nadzieją, że nastąpi jeneralna poprawa, i że, przesycone goryczą i żalem, rezolucje stracą szybko swą palącą aktualność.

Ale na razie one jeszcze są i jeszcze brzmią:

1. Zjazd stwierdza, że sposób obliczania zarobków zdrowych kobiet, czy mężczyzn (wedle tego obliczenia wypłaca się renty wdowie) przez Starostwa Małopolski jest daleki od rzeczywistości, na skutek czego wdowy, mające liczniejszą rodzinę, zostały bardzo pokrzywdzone, gdyż wedle tych relacyj wdowy z kilkorga dziećmi otrzymują taką samą rentę, jak i te, które mają dwoje dzieci.

2. Zjazd domaga się wypłacenia przez Izbę Skarbową rent nieprawnie zawieszonych w takim samym śpiesznym terminie, w jakim zostały zawieszone, co trwa dni kilkanaście, a natomiast „odwieszenie" przeciąga się już całemi miesiącami...

3. Cały szereg rezolucyj, domagających się sanacji stosunków w Izbie Skarbowej, z których jedna brzmi boleśnie i jaskrawo: Zjazd domaga się, aby Izba Skarbowa przestała zajmować się listami anonimowemi, których wiele do Izby wpływa, natomiast poświęciła więcej czasu sprawom przyznawania rent niezaopatrzonym dotychczas, a mającym do tego wszelkie prawa, jako ofiary wojny.

4. Zjazd domaga się, aby Izba Skarbowa z chwilą wstrzymania zaopatrzenia, przesyłała stronie bezzwłocznie do wiadomości jasny i szczegółowy powód wstrzymania wypłaty renty.

5. Zjazd domaga się kapitalizacji rent tym inwalidom, którzy pragną stworzyć własne warsztaty pracy czy też budować się, gdyż wielu z inwalidów, mając już wszystkie potrzebne kroki przeprowadzone, czeka od kilkunastu miesięcy na wypłatę skapitalizowanej renty bezskutecznie.

6. Zjazd domaga się wydania zarządzeń, aby deklaracje, składane przez pobierających zaopatrzenie w Inspektoratach skarbowych do potwierdzenia stosunków majątkowych i dochodowych, były bezzwłocznie załatwiane i wydawane stronom do rąk, a nie, (jak to ma miejsce dotychczas, w niektórych powiatach, jak Przeworsk, Łańcut, Żywiec i inne), leżały niezałatwione po kilka miesięcy, z których to powodów pobierający zaopatrzenie nie otrzymuje go nie z własnej winy.

7. Zjazd domaga się, by po śmierci inwalidy wypłacano bezzwłocznie pozostałym po nim zaliczki na przyznać się mającą rentę, gdyż przyznawanie takowej po kilkunastu miesiącach nie zastaje już ich przy życiu, w najlepszym zaś razie skazuje ich na wyciąganie rąk o wsparcie.

8. Zjazd domaga się, aby decyzja komisji wojskowo lekarskiej, zaskarżona do I. K. O., nie mogła w żadnym wypadku być zmieniona na niekorzyść zaskarżającego.

9. Zjazd domaga się, aby inwalidów, u których skonstatowano niewątpliwie cechy gruźlicy, bądź to drogą kliniczną, bądź bakterjologiczną, byli uznani jako 100% niezdolni do zarobkowania, bez względu na stopień rozwoju samej choroby, i o ile nie są leczeni na koszt państwa, winni otrzymać odpowiedni dodatek, dający im możność leczenia.

10. Zjazd domaga się, aby gdy protezy i aparaty ortopedyczne, które winny być specjalnie przygotowane do potrzeb osobistych i zawodowych inwalidy, nie odpowiadają tym wymogom, Zjazd uważa za wskazane i konieczne danie możności inwalidom zaopatrzenia się w potrzebne aparaty ortopedyczne w prywatnych zakładach na koszt skarbu państwa.

11. Zjazd domaga się, by wobec zlikwidowania fabryki protez we Lwowie i w następstwie konieczności wyjazdu inwalidów do fabryki protez do Warszawy, udzielano subwencji odpowiednim urzędom państwowym, któreby mogły udzielać zaliczek na koszta podróży do Warszawy w sprawach protezowych i na wezwanie fabryki protez w Warszawie.

12. Zjazd domaga się jaknajszybszego rozpoczęcia kapitalizacji rent przez nadanie ziemi, uważa jednak, że wypłata renty może być wstrzymana z dniem 31.XII tego roku, w którym inwalida zebrał pierwsze zbiory z przyznanej mu roli.

13. Zjazd domaga się bezwzględnego przestrzegania przepisów ustawy z dnia 18.III 1921 r. w przedmiocie przymusowego zatrudniania inwalidów przez zakłady i instytucje państwowe i rozciągnięcia tychże na wdowy i sieroty oraz wydania zarządzenia, chroniącego ofiary wojny przed wyzyskiem i niesprawiedliwym wydalaniem z pracy.

14. Zjazd domaga się natychmiastowej stabilizacji wszystkich inwalidów urzędników i funkcjonarjuszy państwowych.

15. Zjazd stwierdzając, że odnośne przepisy ustaw i rozporządzeń w przedmiocie ubezpieczenia inwalidów wojennych, wdów i sierot oraz rodziców po poległych, zmarłych i zaginionych, nieprzychylne dla ofiar wojny, stosuje się szybko i w całej rozciągłości, natomiast postanowień korzystnych nie stosuje się wcale, albo w bardzo nieznacznej mierze, wreszcie, że interpretacja prawna poszczególnych przepisów jest zawsze nieprzychylna dla inwalidów wojennych, wdów, sierot i rodziców, domaga się powołania do współpracy w wykonywaniu ustawodawstwa inwalidzkiego i wprowadzenia sądów rozjemczych dla rozstrzygania spraw spornych, Związku Inwalidów Wojennych Rz. P.

16. Zjazd oświadcza, że rewizja koncesyi jest

OBUWIE MĘSKIE

Marko

GOODYEAR WELT

TRWAŁE ELEGANCKIE TANIE!

Do nabycia: Warszawa, Łódź, Poznań, Kraków, Lwów, Wilno, i we wszystkich innych miastach Polski.

FABRYKA OBUWIA „MARKO“ KRAKÓW—LUDWINÓW.

.96

ZAKŁAD CZYSZCZENIA MIASTA KRAKOWA.

78

Zarząd wodociągu miejskiego

w KRAKOWIE XII

UL. SENATORSKA L. OR. 1

TELEFON № 325.

98

nietylko konieczną, ale i możliwą do przeprowadzenia, co już stwierdziła Państwowa Rada Opieki Społecznej, wypowiadając się jednogłośnie za przeprowadzeniem tejże, domaga się w interesie ogólno - państwowym natychmiastowej rewizji koncesyj, z równoczesnem przedłużeniem ważności odnośnych rozporządzeń w tej kwestji, wydanych do 31.XII 1927 r.

17. Zjazd domaga się zniesienia krzywdzących postanowień art. art. 11 i 12 ustawy z dnia 22.XII 1925 r. o równowadze budżetowej i domaga się wykonania ustawy inwalidzkiej z dnia 18.III 1921 r. w całej rozciągłości, zwracając się równocześnie do Zarządu Głównego Wydziału Wykonawczego Związku Inwalidów Wojennych Rz. P. z prośbą o jaknajszybsze spowodowanie uregulowania sprawy waloryzacji rent.

18. Związek Inwalidów Wojennych Rz. P. winien wytężyć wszystkie swoje rozporządzalne siły w pracy dla utrwalenia pokoju i nawiązać w tym celu stosunki z odpowiedniemi ugrupowaniami, z wykluczeniem złączenia się z jakimkolwiek związkiem międzynarodowym, opartym na partji politycznej.

19. Stwierdzając, że prawa ofiar wojny mogą być zapewnione tylko w zorganizowanem prawnie państwie i przy współpracy przedstawicieli ofiar wojny, Zjazd potępia wszelkie usiłowania czynników zagranicznych w kierunku gwałtownej zmiany ustroju Państwa, zagwarantowanego przez Konstytucję, jako zagrażające obecnemu zabezpieczeniu ofiar wojny.

20. Jakkolwiek Związek Inwalidów Wojennych Rz. P. jest apolityczny i wyznaniowo neutralny, Zjazd uważa jednak, że zagadnienia dotyczące ofiar wojny wiążą się z innemi społecznemi kwestjami dzisiejszych czasów, których rozstrzygnięcia należy poszukiwać nie tylko na drodze wprowadzenia w życie specjalnego prawodawstwa dla inwalidów i pozostałych, ale również w drodze ogólnej działalności, prowadzonej w porozumieniu z organizacjami, które mają podobne cele i zadania, względnie podtrzymują żądania ofiar wojny.

21. Stworzenie idei pokoju i zgody ludów było i jest jednem z pierwszych poczynań Związku Inwalidów Wojennych Rz. P., przeto Zjazd stwierdza, że dążenia i prace tak społeczeństwa jak i Rządu Polskiego są na wskroś pokojowe i odrzuca z oburzeniem wszelkie insynuacje, przypisujące Polsce zamiary agresywne i zwraca się do wszystkich ofiar wojny całego świata z wezwaniem do paraliżowania i dementowania podobnych oszczerstw, które w rezultacie tylko pogarszają położenie Polskich Ofiar Wojny.

Opuszczaliśmy salę obrad z uczuciem zadowolenia. Karność, sprężystość i energja krakowskich i małopolskich organizacyj musi na wszystkich czynić jak najlepsze wrażenie, i trudno powstrzymać się od uwagi, że nawet w przemówieniach bardzo prostych, gdzieś ze wsi zapadłych, członków, wyczuwało się wyraźnie niekłamaną nutę karności i poczucia wagi wspólnych interesów.

To też spokojni jesteśmy o rozwój tamtejszych organizacyj. Pójdą one napewno właściwą i twórczą drogą.

Red.

REGULAMIN

ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO ZWIĄZKU INWALIDÓW WOJENNYCH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W KRAKOWIE UCHWALONY NA ZJEŹDZIE DELEGATÓW WOJEWÓDZTWA KRAKOWSKIEGO W DNIU 7 SIERPNIA 1926 ROKU.

§ 1. W myśl uchwały III-go Zjazdu ogólnego delegatów ZIWRP. w Warszawie i uchwały Zjazdu delegatów Kół i Grup województwa krakowskiego odbytego w dn. 25. X. w Krakowie, tworzy się Zarząd Wojewódzki ZIWRP. z siedzibą w Krakowie.

§ 2. Ciałem zarządzającem w sprawach dotyczących organizacyj tegoż okręgu jest corocznie odbywający się Zjazd delegatów ZIWRP. województwa krakowskiego.

§ 3. Wszyscy członkowie Wydziału Wykonawczego i przewodniczący Rady głównej oraz członkowie Zarządu Wojewódzkiego krakowskiego mają prawo uczestniczenia w Zjeździe Wojewódzkim i korzystania z praw, przysługujących rzeczywistym delegatom.

§ 4. Wybór delegatów na Zjazd wojew. następuje zawsze zgodnie z przepisami statutu zw.

§ 5. Doroczny Zjazd delegatów woj. krak. odbywa się conajmniej na 4-ry tygodnie przed Zjazdem ogólnym w Warszawie. Zjazd ten zwołuje Zarząd Wojew., któremu przysługuje prawo zwoływania zjazdów każdej chwili i o ile tego wymaga konieczna potrzeba.

§ 6. Nadzwyczajny Zjazd delegatów woj. krak. może być zwołanym w każdym czasie, o ile zażąda tego Zarząd Główny ZIWRP. oraz na życzenie $^3/_5$ ogólnej liczby Kół i zameldowanych Grup woj. krak., przedstawiających przynajmniej 50% członków zwyczajnych województwa krakowskiego.

§ 7. Zjazdom Wojewódzkim przewodniczy przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego z wyjątkiem Zjazdów, na których ma nastąpić wybór Zarządu Wojewódzkiego i wówczas Zjazd obiera z pośród delegatów prezydjum Zjazdu.

§ 8. Zjazd jest prawomocnym, o ile termin jego został podanym interesowanym Kołom na 2 tygodnie przedtem do wiadomości.

§ 9. Uchwały Zjazdu Wojewódzkiego zapadają zwykłą większością głosów. W razie równości rozstrzyga głos przewodniczącego.

§ 10. Do zmiany regulaminu potrzebną jest większość $^{2}/_{3}$ obecnych na Zjeździe delegatów.

§ 11. Do kompetencji, obowiązków i praw Wojewódzkiego Zjazdu delegatów należy:

a) rozpatrywanie i zatwierdzanie dorocznych sprawozdań Zarządu Wojewódzkiego,
b) wybór Zarządu Wojewódzkiego i Komisji rewizyjnej,
c) uchwalenie i zmiana regulaminu Zarządu Wojewódzkiego,
d) rozpatrywanie i załatwianie wszystkich wniosków, przedstawionych Wojew. Zjazd. deleg.

§ 12. Wybory Zarz. Wojew. odbywają się tajnie kartkami, Zjazdowi przysługuje jednak prawo głosowania przez aklamację. O wyborze rozstrzyga większość oddanych głosów. W razie równości rozstrzyga ponowne głosowanie, o ile to wypadnie tak samo, rozstrzyga los.

§ 13. Na czele okręgu wojew. stoi Zarząd Woj., składający się z 8-miu członków Zarz. i 3 zastępców, a to: przewodniczącego i 2 jego zastępców, sekretarza i jego zast., skarbnika i jego zast. Członkowie Zarz. Woj. winni w zasadzie mieszkać w Krakowie, nie jest to jednak obowiązującem, o ile przynajmniej 2-ch z nich zamieszkuje w Krakowie.

§ 14. Komisja rewizyjna składa się z 5-ciu członków, wybiera z pośród siebie przewodniczącego i sekretarza. Obowiązaną jest przeprowadzać rewizję przynajmniej 2 razy w roku.

§ 15. Zarząd Wojew. i Komisja rewizyjna wybierana jest na przeciąg trzech (3) lat.

§ 16. Ukonstytuowanie się członków Zarządu i Komisji rewizyjnej odbywa się w myśl regulaminu związkowego.

§ 17. W razie ustąpienia jednego z członków Zarządu lub Komisji rewiz. wchodzi na jego miejsce ten z kandydatów, który na Zjeździe otrzymał największą ilość głosów.

§ 18. Posiedzenia Zarządu Wojewódzkiego odbywać się winny przynajmniej raz w miesiącu, a w razie potrzeby i częściej.

§ 19. Uchwały Zarz. Woj. zapadają zwykłą większością głosów, w razie równości rozstrzyga głos przewodniczącego. Uchwały uzyskują prawomocność przy obecności przynajmniej 5-ciu członków Zarz., w tem przewodn. lub jednego z jego zastępców.

§ 20. Wszelkie zatargi, wynikające z natury Zarz. Wojew., załatwia Zarząd Główny.

§ 21. Pokrycie wydatków Zarz. Wojew. następuje w myśl decyzji ogólnego Zjazdu delegatów wzgl. art. 10 § 5 statutu związku, z tem, że wszelkie wpłaty Zarządowi Głównemu z tytułu wkładek uiszczają Koła i samodzielne Grupy Zarz. Wojew., a ten rozlicza się z Zarządem Głównym. Dotyczy to również opłaty 10% z nadzwyczajnych dochodów Kół i Grup, z których 5% otrzymuje Zarząd Wojewódzki.

§ 22. Zarząd Wojew. w razie nagłej potrzeby może uchwalić jednorazowe opodatkowanie członków na zasilenie funduszów Zarz. Wojew., którą to uchwałę winien na najbliższym Zjeździe delegatów przedłożyć do zatwierdzenia.

§ 23. Wszystkie Koła i Grupy, położone na terenie Zarządu Wojewódzkiego Krakowskiego, nie mogą w żadnym wypadku uchylić się od niniejszego regulaminu. Wszelkie prace Zjazdów i Zarządu Wojew. nie mogą również w żadnym wypadku przekraczać statutu związkowego, który jako zbiorowe wyrażenie woli członków Związku przestrzeganym być musi.

§ 24. Regulamin niniejszy uzyskuje swą ważność z chwilą uchwalenia go przez Zjazd delegatów Związku Inwalidów Wojennych Rzp. P. województwa krakowskiego.

W następnym numerze umieścimy szkic p. t.:

„Dzieje Krakowskiej Organizacji Inwalidzkiej"

napisany na podstawie wywiadu z Prezesem Krak. Z. W.

Dr. St. Prostakiem.

Z PIĄTEGO ZJAZDU DELEGATÓW WOJ. WARSZAWSKIEGO.

Piąty zjazd delegatów Woj. Warszawskiego odbył się dnia 6 czerwca r. b. w Warszawie (na Pradze) przy udziale 51 przedstawicieli 24-ch ogniw, członków ustępującego Zarządu, członków Wydziału Wykonawczego, oraz zaproszonych gości.

Na prezesa Zjazdu powołano kol. Bolesława Koluszko, przedstawiciela Śląskiego Wydziału Wojewódzkiego.

Zjazd, niestety, odbył się dosyć burzliwie. Przedewszystkiem prezes Wydziału Wykonawczego, p. Kantor, zażądał usunięcia od udziału w obradach p. Filerajsa, zarzucając mu prowadzenie wrogiej Związkowi agitacji. Pan Filerajs bronił się, lecz zebranie opuścić musiał. Zaszedł później incydent z panem Dzisiewskim, ustępującym prezesem wojewódzkim, który oświadczył, że nic nie wie o porządku dziennym i żąda poczynienia w nim zmian, ponieważ regulamin wypracowany został bez jego wiedzy. Burzliwa dyskusja... i wniosek p. Dzisiewskiego przepadł. Ale to była tylko przygrywka do dalszych incydentów. Nieszczęśliwe, samowładne a lekkomyślne rządy p. Dzisiewskiego zakończyły się smutnym skandalem. Nikogo nie zadowoliło jego sprawozdanie, nikogo zadowolić nie mogły wyniki loterji, której poświęcono wiele starań i pracy bez osiągnięcia zamierzonego celu. Wszystko zakończyło się niekulturalną bitką, wzajemnem czynnem znieważaniem się (Pp. Obrzydowski i Dzisiewski) i unieważnieniem mandatu p. Dzisiewskiego.

Na szczęście niema złego, coby na dobre nie wyszło. Atmosfera została oczyszczona, i praca celowa na nowo podjęta. Zjazd uchwalił: „...wszelkiego rodzaju operacje gospodarcze, imprezy i t. d. mogą być urządzane przez Wydział Wojewódzki tylko po uzyskaniu zgody Rady Wojewódzkiej”. „Przyszłej Komisji Rewizyjnej polecić przeprowadzenie dokładnej rewizji loterji i winnych pociągnąć do odpowiedzialności sądowej”. „Lustracje Kół winny być częste, przynajmniej 1 raz na 3 miesiące. Stałe i kwartalne sprawozdania poszczególnych ogniw muszą być regularnie nadsyłane do Zarządu Wojewódzkiego, celem utrzymania stałego kontaktu z ogniwami i należytego prowadzenia działu organizacyjnego”. „Zjazd uważa za jedyne i najdonioślejsze zadanie pracy Warszaw. Zarządu Woj. doprowadzenie do należytego poziomu stanu organizacyjnego na terenie Woj. Warszaw. i poleca Zarządowi Woj. w tym kierunku wytężyć siły.

Nowy Zarząd Wojewódzki z zasłużonym St. Żukiem na czele ochoczo wziął się do pracy. Nie wątpimy, że przezwycięży wszystkie trudności. Życzymy Mu, a przedewszystkiem Jego prezesowi, wytrwania na trudnym posterunku i niezniechęcania się przeszkodami... i głupotą niektórych... działaczy. *S.*



HABRYKA

Ciężki był rok 1918 i 19 dla palaczy.

Zdobycie paczki „prawdziwego" należało do szczęścia. To też ludzie palili wszystko, co dym produkuje. Zato prawdziwa rozkosz ogarniała palacza, gdy po paleniu różnych rządowych „erzaców" pociągnął sobie prawdziwego tytuniowego dymku.

Dzisiaj jeszcze błogosławię poczciwą trafikantkę, gdyż pewnego dnia sprzedała mi cztery obszarpane cygara, tak, by tego nikt nie widział. Były to sobie zwyczajne Porto - Rica, a zdołały już na Trabuca zaawansować i kto wie jaka karjera dalsza byłaby je spotkała, gdyby nie zostały sprzedane. Wprawdzie były wytworem tylko c. k. fabryki, a nie N. K. N—u., ale miały szczęście, — to miały.

Gdy tylko siadłem na wózek, zaraz zacząłem je krajać drobno na papierosy.

Fjakier mój, Jasiek, machając biczem nad swoją szkapą, spoglądał pożądliwie na operowane cygara. Dlatego też zaraz, gdy po skrajaniu skręciłem z tej pateruchy papierosa, pozwoliłem Jaśkowi naładować fajkę, licząc na to, że do fajki góralskiej nie wejdzie zbyt dużo. Zauważyłem jednak, że coś ta Jaśkowa fajka chyba bezdenna, bo blisko połowa z takim trudem zdobytego tytoniu wlazła do jej czeluści. Czyżby dziurawa była? Tymczasem spryciarz Janek pakował po za fajkę, w swój potężny kułak. Taki to śtuder był. Szczęściem kułak bez dna nie był, więc oddał resztę majątku tytoniowego, choć bardzo nadwyrężoną. Pogadując przez drogę, by się nie cniło, dostaliśmy się po trzech godzinach jazdy na polanę.

Cała polana, zalana żarzącem słońcem, pachła skoszonem sianem, które dwie kobiety gorączkowo gromadziły i składały w ostrewki. Zatrzymaliśmy się tuż przy nich, gdyż tu kończyła się moja droga, a wysławszy Pana Boga kobietom do pomocy, siadłem nad rowem i począłem porządkować rybackie przybory.

Kobiety uwijały się prędko, gromadząc siano w kopy, a tylko skrzypot grabi po ściernisku i szelest suchego siana przerywał panującą ciszę w tym ładnym, żarem słonecznym rozgrzanym zakątku górskim. Furkały szybkim ruchem poruszane kiecki obu kobiet, a Marynie, że to była zawzięta na robotę, to strugami wyciekał pot z pod jasnych, jak licht hercegowina włosów, a przez przepoconą koszulę, przylgniętą do ciała, różowiły się plecy.

— Scęście ze juz w kopach, bo widzi się, że z tej parnoty lejba przyńdzie, — het by się zmarniło — rzekła, spoglądając na mgiełki białe, czepiające się szczytów otaczających gór, a poprawiwszy grabiami niesforny kłak siana, rzucony na ostatnią kopę, zwróciła się do mnie: — A wy póćcie ku izbie, co ta będziecie kie ten dziadek przy rowie siedzieć.

Korzystając z zaproszenia, ruszyłem wprost za Maryną, kołyszącą się w biedrach, a Jaśkowi kazałem objechać wokoło. Zeszliśmy po lekkiej pochyłości, ku bełkotliwej Białce, nad której brzegiem wysokim stało obejście Maryny.

Na ławie pod okapem izby siedział mąż Maryny, Jędrek, maczał szmatę w obok stojącej putni i przykładał na twarz. Zdziwiłem się, gdyż niedawno widziałem go zdrowego, i jak sam mówił, nigdy nie chorował.

— A cóż to, Marysiu, że chłop wam nie pomaga? — rzekłem, witając się równocześnie z Jędrzkiem, — przecie siano to głównie robota chłopska.

— Kie me—wicie—jakaś zło mucha uciena, że mi jaze lica spuchły — odrzekł, wyprzedzając w odpowiedzi Marynę, poczem odchylił szmatę i pokazał gębę spuchniętą rzetelnie tak, że mu ledwo szparka została z lewego oka, prawe zaś było zupełnie niewidoczne, gdyż cały policzek z czołem był jedną świecącą banią.

Spojrzałem na Marynę. W pąsowych ustach tkwił złośliwy uśmiech.

— Hej, hej, ba i to, to gadajse prawde, jakoś se gembe narządził, nie bzdurz!

Na szczęście Jędrzkowe wybiegło cielę ze stajni, pobiegł więc za nim i tak uniknął niemiłej mu odpowiedzi.

— To syćko bez te habrykę, — zajazgotała Maryna — ale pockajcie, ino grul do skrobania przyniosę, to wam opowiem.

Za chwilę nadeszła z ziemniakami i z garnkiem,

a z nią przyszedł i Jasiek, który już wjechał w podwórze.

— Aleście się tęgo dorobili, — rzekł Jasiek, zwracając się do siadającej na ławie Maryny — dy jase wam po łydkach ciórki płyną.

— Syćko to bez Jędrzka i skrony tego tabaku. Nima go ka dostać, a chłop jase głupieje przez niego. Zawcora przyniesłak mu packę z ceskiej strony, to już nie puściuł piporasa z gemby, ba ino kuzył tak, ze w izbie jaze gmła była, a przy północku był juz fertig ś nim. A telo mie juz ubośkał zań, ze i od ślubu telo tego nie było, choć ta juz pięć roków na Katazynę

całą noc inom wodę mu na głowę kładła, a widziało sie ze dońdzie, taki był biały, jaze dziśka, rano pofolgowało mu krapkę.

— A cemu nie pudzie Jędrek na ceską stronę, dy tam tabaku dość — powiedział Jasiek.

— Hłopa to nie puscom, a jesce go dopukają te ceskie zołnize, baba prędzej przeńdzie, kie jesce fryśno, ale zaroz figlować fco, no, te bezkurcyje. Wicie! Wojtek z Bukowiny to juz drugą niedziele w hareście w Kiezmarku skrony tabaku pokutuje. Prawda, ze ceskich koron nimiał, ba kupował ino ręcami bez kratę u korcmoza w Podspadach.



będzie. Hłop toby duse za tabak przedał. Zaś wcora kazowałak mu pójść do kośby. Nijako sie wybrać nie mógł, ba ino cięgiem cegosik sukał i jeno mamrotał: „A juz nie gniewaj sie. Juz idę, — zaro idę.

— Uźrałam go, jak znalazł dwa piporase, takie sadzami prześmierdziałe, widzi sie jeszcze po dziadku, jaze carne od świcenio, pieknie je porzezał na drobne trzasecki, ubił we fajkę i zakużił. Nic się nie dziwowałak, bo cego juz ka nie kuzą! Mnie trza było iść na wieś kosiaza upytać, tak i posłak.

— Zabawiłak sie mało, nie duzo, bo koło połednia byłak juz doma, chocia nikogo nie upytałak.

— Sukam Jędrzka, krzicem, nawołuję, myślę kaby sie tez podział, bo przecie miał kosić, a na polanie ledwie dwa pokosy lezało. Cosik mi ciukło poźreć na boisko. Zazirom, a tu lezy mój Jędrzek, kie nieboścyk, rozciągniony i ośliniony kie ciele po saniu, a ino jojcy. Kufę mu wyonacyło kie obońke, ze i oców nie widać. Zlękłak się okrutecnie, co raty! He — coś ci to Jędrzku? a on stękający peda: Ej, dy to z tych piporasów tak mi się wej zrobiło, a w głowie to mi tak łupka, ze jaz sie mont chyta, — i to po jednej fajce. Tak

— Wej, co sie to robi! co sie to robi! — westchnął głęboko Jasiek, ocierając chrabąszczowate wąsy. — Opowiadał mi Smaś, ten wicie, co troc ma i końmi handluje, ze pisało w gazetak, ze to secjalisty mają teraz u nas rzędy, to pewnikiem trzimią tabak la swoik i la zidów, bo to ci tys mają, a hłopu, to ino podbiał ostał i inne kwasy. Ryktują ci naród plugace!

A zadumawszy się głęboko, dodał po chwili:

— Nijakiego porządku nie bedzie, ni sprawiedliwości przez cisarza.

Maryna brała widać tę sprawę bardzo osobiście, bo rzuciwszy obrany ziemniak z pasją do garnka, że aż się woda rozprysła, poczęła jazgotać dalsze skargi.

— A kiedybyście obacyli Jaśku. co się po wsiach wydziwia! jej! Dy hłopy chodzą jak te owce pomotylicone, nic nie kosą, ba ino baby kosy psują, a te głobisie ino sukają róznych kwiatków a liści i prógują, cy sie nie trafi jakie do gustu. W kazdej izbie inacej śmierdzi, tu podbiał, tam konic, haw znowu cosi kajsi, a u poniektórego to jak w kościele kadzidłami. Widzi mi się, ze hłop ma ino telo rozumu, kielo go z piporasa wyciągnie, — dodała ze złością.

— Ujkowi, temu wicie, z pod krziza, to wysło jesce gozej jako memu.

— Kiek wcora przisła ku jego izbie pytać na kośbę, tak usłisała, ze za sopom cosik mruci, a pobekuje, a smrecaskiem co tam rośnie tyrpie, jaze cetyna leci. Wyglądłak za sope, a to ujek trzima sie oboma ręcami smreka i za pseproseniem wonituje. Widziało się ze mu syćkie flaki wytardze, jaze hipkał od bolenia. Przelękłak sie okrutecnie, myślem: cholera pewnie, bo ta ludzie mówili ze kaj si juz nie prec. Napadłak na ujnę i pedam jej co się robi, a ona ze złością jaze piekłować pocena i napoły z płacem peda: „Djasi z takim chłopem, okuzył sie gnoja to go tardze, a tu sienokosy, a tu telo roboty, syćko na babskiej głowie. I w te mi dopiero pedziała, ze to cyganka z za wody poradziła ujkowi, ze jesce najlepsy do kuzenia susony nawóz koński, ze to niby moc ma tęgą, i ze jej hłop kuzy A ze hłop bez mała zesietniacał przez habryki, bo zaraz głupi usłuchnął.

— Kie ino pirsy dym puścił pedziała mu ujna: „Ci ty juz całke ogłupiał? Dy to jakoś okropnie śmierdzi a w ocy dzióbie! Nie kuz tego gnoja! Ale hłop, ze to kazdy sparty jest, peda: „Dy moze sobie smaku dobrać, — z razu nie poznas jakie jest". No i dobrał se smaku, jaze gnojówka śniego cieknie. A pote ze zalu pocena znowu piekłować. „A niekze i zdechnie ta bestyja! ten sumar! ten cap głupi! i jak wziena



sie płakać a jojcyć, a śnią dzieciska, to jaze w izbie giełcało". A tak pote juz brzyćko klena, zek uciekła, a juzek była daleko, a jesce słysałak klęcie.

Zadumała się Maryna na chwilę a potem wraz z głębokim westchnieniem rzekła:

— Boże! Boże! kielo to niescęścia, a marnacji bez głupią habrykę.

Widziałam prawdziwy wyraz współczucia a równocześnie tragiczny wyraz w twarzy Jaśka, szczypiącego chrabąszczowate wąsy. Maryna dalej serdecznie wzdychała.

Ja przygotowawszy wędkę i muchy poszedłem nad wodę.

Już dobry zmierzch zapadł, gdy powróciłem do izby.

Okno było otwarte, a wieczorny, rzeźwy górski chłód wraz z zapachem skoszonego siana wciskał się do



izby. Na kominie paliły się gałęzie smrekowe, a paląca się cetyna strzelała drobnemi iskierkami naokoło. W izbie nie było nikogo. Wyjrzałem przez okno.

Na ławie pod okapem siedział Jasiek podparty na dłoni i ssał odwrotną stronę cybucha, a obok niego Jędrek ze swą putnią, w której maczał szmaty, okładając niemi gębę.

— To zabrali syćkie fabryki z tabakiem? — szeptał Jędrek. — A wzieni — i te fabryki i cisarza, ino o cisarzu to sie nie przyznają, zeby sparcia z nami nie mieli. Psia kreńć! obwiesie ceskie! I komus to teraz bedzie naród słuzył i kto da piniendzy na syćko?

Tu zapanowało dłuższe milczenie; słychać było tylko ciurkanie wody z wykręcanej szmaty i cichy piskot ssanego cybucha.

— A kie to juz bedzie to głosowanie, plezbicyt, cy jako tam nazywają? bo ino na cechów padnie nam głosować, co ta bedziemy dziadowali!

Przerwałem tę polityczną rozprawę, gdyż czas było powracać do domu, a siedząc na wózku dumałem:

Hej, Polsko! ongiś od morza do morza, przez habrykę mogłabyś stracić nietylko Jaworzynę, ale i całe Tatry! Lecz chyba nie wszyscy tak myślą.

Może i pstrągi poszły na czeską stronę, gdyż żaden nie popatrzył się na moją muchę i nic nie złapałem.

Ale jakiby one miały interes?

Alojzy Jost.



Wielki, biały śniegiem plac, lśnił srebrnie w blaskach księżyca. W mroźnem powietrzu trwała zupełna cisza, cisza północnej zimowej nocy, zstępująca, zda się, ogromną falą aż hen — od nieobjętych przestrzeni nieba, płynąca z obszarów międzyplanetarnych, i przynoszącą z sobą tajemny wiew, tajemne echo niezliczonych, złotych gwiazdozbiorów.

Po środku placu czerniał wielki gmach drewniany — bezkształtna czarna masa, rzucająca ponury cień na nieskalaną białość śniegu. Z jednego krańca placu zaczynała się miejska ulica — dwa szeregi niskich przeważnie parterowych domków, ciemnych już i cichych, nierzeczywistych jakby wśród tej srebrnej nocy. A zresztą plac się łączył z daleką, daleką równiną pól śniegowych, cichych i białych, cichych jak śmierć dobra i białych, jak śmierć czysta. Żaden dźwięk, żaden szelest nawet nie płynął od tych przestrzeni, więc zdawać się mogło, że tu króluje jeno biały, księżycowy blask i biały północny mróz, brat śmierci.

Długa noc zimowa uśmiechała się błyskiem gwiazd ponad tym cichym placem i znaczyła daleki swój pochód szlakiem pełnego miesiąca i gwiazd przemiennym orszakiem. W ciszy tej, rzekłbyś, nie działo się nic. Cóż może dziać się w tem królestwie śmierci?

Jakiś przecież odgłos nadpłynął z sennej dali. W ułudnym rozlewie blasków zamajaczyła smukła postać, wolno i chwiejnemi ruchami sunąca po równi śniegu. Długi, śmieszny cień szedł za tą postacią, chwiał się i kołysał, przesuwał zwolna po śniegu, aż wreszcie zniknął w cieniu, rzucanym przez gmach samotny.

O drewnianą poręcz frontowych schodów wsparł się młody człowiek i patrząc w dal nieba, najwidoczniej odpoczywał. Światło mleczne igrało w jego oczach i zamieniało te oczy w drżące lekko, łagodne ogniki. Ubrany był nie po tutejszemu, dość lekko, jak na taką zimę, rzec można, nieprzezornie i nieco dziwacznie. Zwykły, szary kapelusz, który gdzieś na zachodzie nosi się jesienią, watowane szare palto bez futrzanego kołnierza, lekkie na nogach buciki i lekkie kalosze — oto wszystko, co chronić go miało przed północnem zimnem. W ręce, osłoniętej tylko skórkową rękawiczką, trzymał cienką, zgrabną laseczkę, i laseczką tą kreślił znaki na śniegu. Całe jego zachowanie się, wyraz twarzy i układ postaci zdradzały niewątpliwie zupełne zadumanie, bezwolne oddanie się płynącym gromadnie myślom, lub też tajonej, a silnej tęsknocie. Słowiańskie jego oczy, błękitne i łagodne jak toń uciszonej wody, błądziły długo po obszarach nieba, a potem zwróciły się w nocną dal rozbłyskanej śnieżnej równiny i znowu znieruchomiały.

Martwa cisza doń tylko mówiła i śnieżnych pól zabójcza melancholja. Zdawało się, że stamtąd, z tej sinosrebrnej dali płynie niewidzialny duch pokutniczy, i bezsłowną swą mocą, dziwną siłą tajnego przenikania przemawia w duszy dumającego, i tą duszę — może hardą i wolną — bierze w swe niepodzielne, surowe władanie. Potęga martwej, obojętnej, niezdolnej do buntu melancholji, potęga nieśmiertelnej, trującej hart wszelki tęsknoty była pieśnią tajemnego ducha, syna tej śnieżnej pustyni. On to władzą swą cierpliwie działającą spada niespodziewanie na osłabione, wymęczone serce, jak sęp żarłoczny szponami je chwyta i powoli, nie śpiesząc się i w ciszy, i gdyby z zupełną, okrutną obojętnością rozpoczyna swą krwiożerczą pracę. I człowiek opada w sobie, zgina kark pod niewidzialne jarzmo, i nagle poznaje prawie bez zdumienia, że mu już jest wszystko jedno, wszystko jedno, że ot .. poszedłby tam w te dale sinosrebrne, smugą niewidzialnych śladów mocarnej tęsknoty, bez celu czy za własną duszą? Bo jest tak, jakgdyby ta śnieżna pustynia wyczarowała, wywołała duszę z człowieka, i zatopiła ją

gdzieś w tajemnej mgle, w Nieznanem, podobnem zimnej, obojętnej śmierci.

Zadumany drgnął znagła i pochylił głowę. Przetarł ręką czoło i w ruchu tym na tył głowy zsunął kapelusz. Lecz z miejsca się nie ruszył. Nie czuł przejmującego zimna, nie myślał o tem zgoła. I znów nieruchomemi oczyma patrzał w nieruchomą przestrzeń.

Lecz w tej przestrzeni właśnie teraz coś się poruszyło. To zbudził się wiatr lekki, nieuchwytny zrazu i zaczął mącić gładką równię śniegu. Powoli, prawie bez szelestu podrywały się w górę zwiewne, lekkie puchy — mgiełki lotne drobinek śniegowych — i w blasku księżyca zawodziły taniec. A kiedy wiatr, gdyby goniec gwarnego, dalekiego życia, wzrósł na sile, zaszumiał, załopotał i dął tryumfalnie — ożyła śnieżna bezkres, drgnęła, uniosła się gdyby — i zafalowała nagle jak białe, rozburzone morze. Równe, długie, lśniące fale kołysały się w świetle księżycowem, rwały przed się szybko i z szelestem, to znowu chwilami sunęły wolno i omdlałe, z poszumnym gwarem i rytmicznie zmieniającem się lśnieniem.

Ożyła martwa noc. Znikło śmiertelnie smutne oczarowanie ciszy, znikła kamienna nieruchomość wokoło, i zda się, ponad równiną przeszedł lekko i śpiewnie ciepły oddech dalekiego życia.

To wydarzenie nocy przebudziło wreszcie dumającego. Odetchnął głośno i głęboko, wstrząsnął się, poczuł zimno. Rozejrzał się bacznie wokoło, przeszedł kilka kroków i przystanął znowu bezradny. Bawiąc w mieście od niedawna znalazł się tu poraz pierwszy i teraz nie wiedział, gdzie się znajduje. Poszedł śpiesznie w kierunku mroczniejącej ulicy i teraz dopiero spostrzegł stojące w odległości kilkudziesięciu kroków dwie ciemne postacie kobiece. Przyśpieszył kroku. Po chwili słyszał już i rozróżniał ich głosy, pełne życia i jasnej beztroski, dziwne w tem otoczeniu, niemal nieprawdopodobne. Mówiły po rosyjsku. Głos jeden, zdało mu się, młodszy i silniejszy — przeciągał śpiewnie wyrazy, drżał czarującą, nienazwaną pełnią, był poprostu śliczną muzyką, grającą wśród blasków srebrnych srebrzystym dźwiękiem poezji. Głos drugi, starszy i słabszy, wtórował miłym, łagodnym śmiechem, gdyby cichy, konieczny akompaniament.

Kiedy już podszedł blisko, kiedy mógł już dokładnie rozróżnić rysy twarzy, przystanął na mgnienie prawie zdumiony i prawie oczarowany. Ujrzał dwie piękne twarze — całowane blaskiem księżyca — rzeźbione najwyższą łaską przyrody — twarz młodszej gdyby prześliczną wiosnę, i twarz starszej gdyby czarującą jesień. Było to zjawisko tak piękne, a tak niespodziewane, że musiało go pokonać, zjednać i zachwycić. Podchodził już onieśmielony, a już nie mógł przejść obojętnie.

— No, ten ktoś — posłyszał nagle przesycony śmiechem głos młodszej — nie wygląda zupełnie na księcia tej nocy, i wydaje się być tu obcym. Tak śmiesznie ubrany!

— Ciszej, Olgo, — upomniała starsza — przecież słyszy!

— I napewno nie rozumie, mamo. To nie Rosjanin.

— Skąd wiesz?

— O, wiem napewno. Patrz, mamo. On podchodzi — dodała szybciej i ciszej



Rzeczywiście szedł teraz wprost ku nim. Był już blisko, bardzo blisko i widział dokładnie ich twarze. Pierwsze wrażenie dziwnego czaru nietylko nie przeminęło, lecz przeciwnie wzmogło się na sile. Nie mógł oczu oderwać od nieskazitelnych rysów młodszej, nie mógł się nie zachwycać.

Przystanął wreszcie, uchylił kapelusza i zaczął mówić po rosyjsku, najfatalniej akcentując słowa.

— Proszę mi wybaczyć. Jestem tu obcym, i w tem mieście bawię od dni kilku. Nie wiem, którędy wracać mam do domu.

— A gdzież pan mieszka? — zapytała starsza.

— W Samarskim hotelu.

— To dosyć daleko. Pójdzie pan...

— Pójdzie pan z nami — niespodziewanie zdecydowała Olga — my mieszkamy blisko tego hotelu. Pocóż więc ma pan błądzić po nocy, chociaż noce nasze są takie cudowne...

— Jeśli panie pozwolą, będę bardzo wdzięczny. Samotnie tu dziwnie i pusto.

— A więc chodźmy — życzliwie uśmiechnęła się starsza — i my mamy już dosyć spaceru.

— Dziękuję paniom — bąknął nagle zmieszany i tracąc pewność siebie z każdem słowem więcej, plątał się w swych powiedzeniach. — Proszę mi wybaczyć... Aczkolwiek paniom jest to zapewne wszystko jedno... jednak pozwolę sobie wymienić swoje nazwisko... Łabędzki jestem, Tadeusz Łabędzki, polak, zesłaniec polityczny.

— Wiedziałam, że pan jest obcym — uśmiechnęła się Olga — tutejsi ludzie tak nie wyglądają.

— Być może.

— Napewno, panie. Tutejsi ludzie to synowie surowej, długiej zimy, mrozów i lodów. Tędzy, silni, brutalni, no i gruboskórni.

— Olgo!

— No tak, mamo. Cóż to innego wykazała rewolucja?

— Ach, rewolucja!

— Panie, a pana nie uwolniła rewolucja?

— Uwolniłem się sam — uśmiechnął się Łabędzki — zapomniano o mnie. Przed kilkoma dopiero dniami przybyłem do miasta, siedziałem w głębi lasów, daleko.

— Gdzie?

nie odebrali. Ale co dalej będzie, Bogu wiadomo Wie pan — dodała po chwili z oburzeniem, — ojciec mój zginął na wojnie, na froncie tureckim. Obecnie to już nie zasługa. Chcą nawet odebrać emeryturę.

— Tak, tak! Bolszewicy!

— Ale pan przecież nie jest bolszewikiem?

— Olgo!

— Ależ, mameńko. Pytać szczerze wolno.

— Oczywiście, proszę pani. Nie, nie jestem bolszewikiem, nie byłem nim i nie będę. W kraju należałem do partji, dążącej do niepodległości Polski, i za to mnie zesłano.

— Tak. A dziś... u was wolność?

— Wiadomości ścisłych brak, niestety. Wiem tylko tyle, że przepędzono precz niemieckich okupantów, i że Warszawa dzisiaj jest wolną stolicą.



— W kajskich lasach, w głębi, hen za Połomą.

— Nigdy nie słyszałam o żadnej Połomie.

— A o Chołunicy Białej i Czarnej?

— Ach, wiem przynajmniej, gdzie to jest. Więc to w tamtych stronach?

— Tak, ale jeszcze dalej. Wioska, maleńka wioska, ludzie pierwotni, do małp podobni...

— No, panie...

— Rzeczywiście, proszę pani. Ale mniejsza o to, teraz przedzieram się do Moskwy, lecz tu w waszem mieście nic jakoś załatwić nie mogę.

— Ba! Bolszewicy! Oczekują podobno na przyjazd specjalnego oddziału i komisarzy z Petersburga Wyobrażam sobie, co to wtedy będzie!

— A teraz?

— Jeszcze cicho i spokojnie. Do nas, kobiet samotnych, jakoś się nie przyczepili i niczego nam jeszcze

— I pan wierzy w tą wolność?

— Ja tą wolność kocham. O wolnej Polsce śniłem, jako dzieciak.

— I teraz pan dąży do swoich?

— Tak.

— I jak będzie trzeba, weźmie pan karabin i pójdzie bić bolszewików?

— Oczywiście, proszę pani.

— To bolszewicy nie powinni pana wypuścić!

— Olgo!

— Ależ nie, mamo. Tak sobie mówimy. No, cóż pan milczy?

— Cóż mam powiedzieć? Sądzę, że każdy naród, a mój przedewszystkiem, ma prawo do wolnego życia My Moskwy nie chcemy, na cóż wam Warszawa?

— Rosja była tak potężną, — wyszeptała ci-

cho — a dziś płonie zniszczeniem, jak jedna pochodnia Nie żal panu?

— Mój naród sto lat jęczał w okropnej niewoli Krwawe szlaki wiodą ze stolicy mej ojczyzny poprzez wasze śniegi. Szlakami temi przeszły setki tysięcy. Wasi kozacy mordowali nasze dzieci i plugawili nasze świętości. Wasz car skradł nasze skarby i naszą koronę, podeptał naszą wolność i dumę i długo deptał bezkarnie waszą wolność i dumę. Była wina, i oto jest kara Lecz los wasz jest dziś w waszych rękach.

— Mówi pan hardo i groźnie. Czy zawsze? Czy też tylko wobec nas, rosyjskich kobiet?

— Mówię zawsze i wobec wszelkich władz waszych. A kłamać nie umiem. Proszę mi przeto wybaczyć.

— Nie gniewam się — odparła łaskawie — i nie chciałam pana obrazić. Wiadomo, wy Polacy... Ale ja nie chcę Warszawy, a panu życzę z duszy szczęśliwego powrotu.

W tym momencie poraz pierwszy spotkały się ich oczy. Olgi oczy jasno - błękitne, przeczyste i wesołe, spoważniały zrazu, pociemniały i jakby się pogłębiły. Zaledwo uchwytny uśmiech zakwitł na jej świeżych wargach, rozchylił je lekko gdyby płatki wiosennego kwiatu, i urokiem niezwalczonej pokusy położył się na twarzy. W smutnych, spokojnych oczach jego wyczytała może powieść o nieuleczalnej tęsknocie, i zapragnęła może smętek tej powieści rozwiać obietnicą czaru. A czar, młody, szczery czar niewzywany i nieprzeczuwany zarzucił już na nich swe misterne sieci i przypadkowe spotkanie zamieniał na chwilę prawie szczęsną. Szli obok siebie w milczeniu, nie wiedząc, jak długo trwa to zapatrzenie, aż matka odezwała się szeptem wyrzutu:

— Olgo.

Drgnęli oboje i oboje jednocześnie odwrócili głowy. Olga zaśmiała się krótko i z przymusem, i zaraz zaczęła mówić szybko, jakby chcąc odpędzić oczarowanie chwili:

— Idziemy rzeczywiście posępnie. A polacy, proszę pana, szczególnie podobno polacy z Warszawy słyną z grzeczności i umiejętności bawienia dam. Czekamy, panie.

—Słucham. Co pani rozkaże?

— To tak? Dobrze. Więc, proszę pana, musi pan najpierw powiedzieć piękny komplement mojej mamie, a potem mnie. Dobrze?

— Dobrze.

— A więc słuchamy.

– Olgo, Olgo...

— Cicho, mamusiu. Głos ma pan zesłaniec.

A zesłaniec uśmiechnął się krótko i ze smutkiem. Nagle jednak twarz mu się rozjaśniła, a w oczach błysły błękitne ogniki. Rzekł cicho i z zupełną prostotą:

— Lat przeszło dziesięć nie widziałem już mej ojczyzny. I często śnię o tych dniach wrześniowych, dniach najpiękniejszej na ziemi jesieni, pełnych spokojnego czaru i nieokreślonej tęsknoty. Oto taki czar najpiękniejszej jesieni przypomina mi twarz pani

— Powiedział pan to ładnie — szepnęła po chwili Olga — a cóż pan o mnie powie?

Wzniósł głowę i spojrzenia ich znowu się spotkały. Równoczesny, taki sam uśmiech rozchylił wargi obojga, i równoczesny, taki sam blask zajaśniał w głębi oczu Nie spuszczając wzroku, nie przestając się uśmiechać powiedział cicho i bardzo powoli:

— A pani jest jak wiosna. Jest pani różą wonną na tym białym śniegu.

— — — — — — — — — —

I rozkwitnęła ich miłość, jak róża purpurowa Zstąpiła do ich dusz młodych, jak wonna wiosna w głąb lasu, i owładnęła radośnie ich sercami, jak słońce złote wodami. I jak różdżka czarnoksięska wyczarowała z nich wszystko, co najpiękniejsze, otoczyła ich cudownem, rozdrganem kołem blasku, kołem o mocy nienazwanej, która nie dopuszczała do nich głosów złego życia, i która sprawiała, że zawsze żyli w ciszy zupełnej harmonji.

Po pierwszem spotkaniu nastąpiło drugie — niby przypadkowe, — po drugiem trzecie i czwarte, już nie przypadkowe.

Błądzili we dwoje po krzywych uliczkach, zasłanych śniegiem i ciszą, wychodzili za miasto na długie godziny wędrówki, i z dniem każdym bardziej i bardziej oddalali się od rzeczywistości, budując sobie kraj własnej miłości, prześliczny jak najkosztowniejszy puchar, w którym się tęcza odbija, i jak ten puchar kruchy i zgoła nieobronny.

Dusza wesołej, pełnej życia Olgi, dusza swawolnego, beztroskiego dziewczęcia kwitła pysznie pod tchnieniem miłości, i stawała się hojną, szczerą i rozrzutną. Jej śpiewny, jasny głos i jej przeczyste spojrzenie, jej uśmiech tak piękny wśród lic świeżych, jako kwiat na śniegu, pokonywały smętną, i rzec można, starą tęsknotę zesłańca, i w jego świat wewnętrzny wprowadzały nowe wartości wesołości i bujności życia.

Łabędzki, który uparcie wierzył w niechybnie złe przeznaczenie swoje i mawiał o sobie z wiarą, że się urodził pod ciemną gwiazdą, zaczynał o tem zapominać, zaczynał także tonąć w blasku wiosennego uczucia.

— Olgo — mawiał do niej w chwilach zupełnej szczerości — jeśli życie moje dotąd podobne było do śnieżnej, wrogiej pustyni, po której błądziłem smutny, choć hardy i miotany losem jako liść wichrem jesiennym, to ty jesteś w mem życiu kwiatem i wiosną, słońcem i radością, uniesieniem i szczęsnym zachwytem. Z ócz twych piję czar niepokonany, twój uśmiech jedyny zapala w mych żyłach płomień, a ty, ty cała, we

świecie jedyna, jedyna, niezrównana, jesteś kształtem boskiej piękności, jesteś samą miłością, czarem i rozkoszą!

Śmiała się wtedy, a był to śmiech najszczerszego, młodego zachwytu. Wilgotniały jej niewinne oczy, a przez całe ciało przebiegał leciutki dreszcz najtajniejszego przeczucia. Wspierała się silniej na jego ramieniu, i z płomieniem na twarzy zwierzała swoją tajemnicę:

— Nikogo jeszcze nie całowały me usta... o nikim jeszcze nie śpiewało serce... A teraz ty jesteś we mnie, ty, ty, ty, smętny książę zimowej, białej nocy... Mam cię tu w oczach, tu w ustach, tu w sercu i tu w każdej kropelce krwi... wiesz, książę... I czy źle? Powiedz...

Zamykał się krąg czarowny, dojrzewało przecudnie tajemne piękno chwili. Bo cóż jest ponad miłość, cóż jest ponad szczęsny zachwyt serc i dusz zbratanych? Zatapiali się w swem zaczarowanem kole, i istnieli już tylko dla siebie.

— — — — — — — — — —

Lecz wkoło huczała burza, lecz wkoło pienił się szał. Pioruny zdarzeń i okropnych nieszczęść wstrząsały życiem miasteczka i wieściły rzeczy potworne. Z centrów kraju, z miejsc, które zwykle rozsyłały wkrąg promienie władzy, kultury i oświaty, szła teraz straszliwa zaraza, jad lotny a przemożny żądzy nieludzkiej zemsty, hasło potworności, krzywdy i rozpaczy. Mord, najohydniejszy mord wykrzywił oblicze państwa, skaził je i splugawił, i czerwonym pożarem objął widnokręgi. Szalało morze życia, porywało i gubiło walczących, zmiatało wichrem niespodziewanego ciosu cichych i niewidzących.

— — — — — — — — — —

A nad dalekiem, północnem miastem trwały jeszcze przeciche noce białe. Nieskalane obszary nieba, usiane miljardami złotych gwiazd, rozciągały się ponad ciszą grodu, ponad długiemi ulicami niskich, posępnych domków, nad pustemi, białemi placami i nad świecącemi krzyżami cerkiewnemi.

Zupełne milczenie towarzyszyło rozstaniu się kochanków — cisza słodka choć mroźna, cisza dobra, choć przeczuciami brzemienna, — na zawsze zapamiętana cisza najrozkoszniejszej chwili, w której lekkie, leciuchne echo pocałunku wywoływało swawolny śmiech Olgi.

Lecz oto trzasły już białe drzwi maleńkiego domku — oddalił się i znikł we mgle osamotniony kochanek — i znowu wszechwładne królowało milczenie. Tej nocy jednak nie długo.

Gdzieś w dali, w białosrebrnej dali, czy też w głębi dalekiej miasta zerwał się krzyk potężny i błyskiem ostrym przeciął znagła ciszę. A w minutę później buchnął pod niebo triumfujący słup czerwonego ognia — opadł — zagasł — i trysnął znowu, raz, drugi i trzeci. Dalekie wycie tłumu płynęło z falą powietrzną, rozrywało ciszę, gnało ją precz. W spokojnem mieście zaczęło się coś dziać. Już w trzech — czterech miejscach buchnęły pożary — ciemne, niespokojne sylwetki ludzkie wybiegały z domków — krzyżowały się krzyki i nawoływania — ożyła ponurem, złowrogiem życiem noc.

...Pękły więzy prawa i uświęconego wiekami szacunku. Zapanował straszliwy tłum.



Szaleństwo przyszło nagle z dalekiego miasta — władcze i nieustępliwe — i zwyciężyło. Zaroiły się mrowiem ludzkiem place i ulice, zagrzmiały wystrzały walki, całe dzielnice stanęły rychło w ogniu.

— — — — — — — — — —

Łabędzki, z chmurą na twarzy i z ogniem lęku w oczach, przedzierał się przez oszalały tłum. Dłoń prawą zacisnął w kieszeni na rewolwerze, lewą czynił sobie drogę. Wokoło niego „działa się" rewolucja, ta rewolucja, do której niegdyś sam nawoływał, i piekielnie szydziła z jego marzeń. W przeciągu nader krótkiej chwili, to, co się działo, zmusiło go do przemyślenia straszliwych i ohydnych rzeczy. Przypomniała mu się scena z „Legjonu" Wyspiańskiego, w której rozszalałe konie, wlokące za sobą rydwan Wolności, tratują tłum bez celu i bez litości. Przypomniały mu się wszystkie opisy rzezi, morderstw i rabunków, trwających bez przerwy od szeregu miesięcy, i lęk jego rósł z każdą chwilą, zmieniając się w groźną mękę.

Olga mieszkała dosyć daleko, na cichym, niewielkim placyku, w białym, jednopiętrowym domku. Mieszkali tam również b. oficerowie miejscowego pułku, niejednokrotnie już więzieni przez władze bolszewickie i stale szpiegowani, i ta okoliczność potęgowała trwogę Łabędzkiego. Jeden z tych oficerów był człowie-

kiem zamożnym, miał bogatą bibljotekę i cenne zbiory. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkanie jego zostanie zrabowane.

Zesłaniec, myśląc o tem, dopiero jakgdyby teraz spojrzał w ślepia okrutnej rzeczywistości. Duszą jego, którą miłość przesyciła czarem najpiękniejszych przeżyć, szarpały naprzemian rozpacz i nadzieja. Przeciskał się przez tłum coraz szybciej, coraz szybciej i coraz brutalniej, a mimo to posuwał się naprzód dosyć wolno. Niosła go fala, gdyby o brzegi bijąca i znów wracająca. Wycie, wystrzały i dech pożaru płynęły ponad falą.

Nagle poczuł na swej twarzy palący oddech, przepojony wódką, i usłyszał charczący wśród ogólnego wrzasku basowy, podśpiewujący głos:

— A co, brat? Nasza wzięła, a, wzięła! Co?! Nu, i teraz to pohulajem! Idi so mnoj! Podobasz mi się! Ty, dołżno byt', mądry, a? Nu, to ja ciebie i poprowadzę — Tu zniżył głos do bulgocącego, odrażającego szeptu. — Tam jest wino, o, o, i knigi, dużo knig, może to i miljony, a? Sprzedać można, wziąć i sprzedać, a? I dziewczynki jest, rozkosz prosto, a?

Łabędzki widział starą, obrośniętą po oczy twarz, małe, świecące zielonym blaskiem oczki, grube, mięsiste wargi, niskie czoło. Patrzał w tą twarz i zwolna podnosił się w nim gniew, odraza i złość. Ścisnął w kieszeni rewolwer, przyśpieszył kroku i rzucił przez zęby:

— Paszoł won!

— A czewoż ty, brat? A?! Zdurniał, cztoli?! Teraz wolno wszystko, ndas!

— Paszoł won, mówię!

Wokoło nich kipiał tłum. Hasło rabunku, niewiadomo przez kogo i w którym punkcie miasta rzucone, zmobilizowało czerń, żołnierzy i setki włóczęgów. Było rzeczą jasną, że rabunek ten trwać będzie długo, i że żadna siła nie jest w stanie opanować tłumu.

...Dopadł nareszcie placyku. W pierwszej odrazu sekundzie dojrzał, że biały domek płonie. Pochyliwszy głowę i wydobywszy rewolwer ruszył naprzód, z furją, niby ślepy pocisk, pobladły, z błyszczącemi oczyma. Nie było w nim żadnej spokojnej myśli, żadnego obmyślonego postanowienia. Zdawało mu się, że języki ognia liżą mu twarz, i że zamiast serca ma w piersiach bryłę lodu.

Tam, pod samym domkiem, tłum był spokojniejszy, i jakgdyby omijał i okrążał jakieś puste koło. Coś się tam czerwieniło na śniegu.

— — — — — — — — — —

...Nie wiedział nikt, jak to się stało. Ot, wywlekli, pobili, zamordowali. Ktoś strzelił Wiadomo, to były bogate burżujki, nie chciały ludzi wpuścić, dobrem się podzielić. A teraz leżą... ot... ktoś ich przecie zabierze...

— — — — — — — — — —

Patrzał w zimną i surową, zastygłą, a śliczną twarz. W szeroko otwartych, czystych, już szklanych, oczach, czytał straszliwe dzieje chwili. Nieco nad lewą piersią zakrzepła krew. Porwane suknie, bose nogi...

Skamieniał.

— Nu, cztoż, brat? A? Tak i nie pośpieli? A krasawica była, a?

Zesłaniec wzniósł oczy zimne jak lód, a pełne obłędnej rozpaczy. Uderzył temi oczyma w plugawą, obrośniętą po oczy twarz, i patrzał długo, bez słowa. Nagle — ruchem błyskawicznym — podniósł rewolwer. Padł strzał. Zawył tłum. Skłębiła się ludzka masa. Natarła, zwinęła się jak fala i znów odchynęła. A kiedy padł ostatni, siódmy strzał, fala runęła naprzód i już się nie cofnęła.

Wiktor Przecławski.

O PRZYSZŁOŚĆ RZECZYPOSPOLITEJ.

Sytuacja gospodarcza kraju naszego, mimo poprawy, jest w dalszym ciągu poważna. Fakt, iż u schyłku lata mamy z górą 200 tysięcy bezrobotnych, świadczy, że groźba katastrofy gospodarczej, ciążąca nad nami zimy ubiegłej, nie minęła.

Od czasu stabilizacji naszej waluty słyszymy głosy, niejednokrotnie bardzo poważne, że po części sami ponosimy winę za stan gospodarczy, albowiem między innemi, daliśmy klasie robotniczej, tak daleko idące ustawodawstwo z dziedziny polityki pracy, iż nasze życie gospodarcze nie może ponosić tak wielkich kosztów. Stan ten doprowadza w pierwszej linji nasz przemysł, a w konsekwencji inne gałęzie naszego życia gospodarczego do zupełnej ruiny. Głosy takie odzywają się z t. zw. sfer gospodarczych czyli z obozu wielkiego kapitału przemysłowego i finansowego. Przed kilku miesiącami nawet wybitny członek stronnictwa Ch. - D. p. poseł Bitner oświadczył w czasie dyskusji budżetowej, iż nasze ustawodawstwo społeczne pochodzi z wyspy Utopji, i jest w stosunku do innych państw europejskich czemś bardzo daleko idącem, zupełnie nierealnem.

Ogół nie orjentuje się w tych sprawach i czytując, zresztą bardzo mało, wierzy tym głosom, a nadewszystko pewnemu odłamowi prasy codziennej, która „idzie z prądem" i powtarza brednie, iż ustawodawstwo socjalne jest ruiną naszego życia gospodarczego.

Czy tak jest w rzeczywistości?

Głównym argumentem to Kasy. Mamy rzeczywiście — mówimy o tem z dumą — nowoczesną ustawę o ubezpieczeniu na wypadek choroby. Cztery miljony ludzi, bez mała $^{1}/_{6}$ część ludności Rzeczypospolitej, korzysta z bezpłatnej pomocy lekarskiej, z lekarstw i zasiłku w czasie choroby czy połogu. Jednak najmniejsza drobnostka wywołuje głosy oburzenia niepowołanych opiekunów. Spóźniła się karetka pogotowia Kasy — powstaje oburzenie z powodu niedbalstwa Kasy, trzeba czekać na lekarza — wylewa się łzy z powodu „biurokratyzmu" kasowego. Gdy zaś nie starczy tego rodzaju argumentów — kłamie się poprostu. Przed kilku miesiącami jeden z dzienników domagał się zmniejszenia składki Kas chorych o sto miljonów, nie wiedząc, że składki te przynoszą zaledwie 110 miljonów rocznie. Później ograniczono to żądanie do połowy, domagając się zmniejszenia składek do 50 miljonów.

Odwrotna strona medalu. Wyobraźmy sobie, że znajdzie się większość w Sejmie, która ograniczy przymus należenia do Kas, rozbije dotychczasowe wielkie Kasy na szereg mniejszych, obniży składkę. Kto będzie wówczas leczył inteligencję pracującą lub lepiej płatnych robotników? Stworzymy wówczas Kasy fabryczne. Pracodawca przez uzależnionego od niego lekarza będzie decydował o zdrowiu chorego pracownika, dzisiaj czyni to lekarz — pracownik Kasy, nie mający z pracodawcą nic wspólnego. A pozatem te małe Kasy mają zawsze droższą administrację, którą kieruje również pracodawca.

8-godzinny dzień pracy jest również przedmiotem ataków. Zakazujemy ludziom pracować, Polska tylko dzięki pracy istnieć może. Oto argumenty przeciw tej ustawie. Faktycznie rozchodzi się przeciwnikom 8-godz. dnia pracy o rzecz zupełnie inną. Owa „wolność pracy", to wolność wyzysku. Pracownik będzie pracował dłużej za tę samą płacę. Żądanie to wysuwa się, jakby na ironję, w chwili kryzysu gospodarczego, gdy z górą 200 tysięcy ludzi nie może znaleźć pracy, a jeszcze raz tyle pracuje po 2—3 dni w tygodniu.

W Europie zachodniej zagadnienie dłuższego dnia pracy (ponad 8 godzin) nie istnieje. Tam nawet przedsiębiorcy rozumieją, że zbyt długa praca nie dała rezultatów, gdyż robotnik jest przemęczony. Dążenie do przedłużenia dnia roboczego jest ucieczką przed własnem niedbalstwem. Miast reorganizować wytwórczość przez sprawną organizację pracy, przez techniczne udoskonalenie, żąda się, by klasa robotnicza pracowała dłużej za tę samą płacę.

A inne ustawy, to dziedzictwo po zaborcach. Sądzimy, że mało znajdzie się ludzi w Rzeczypospolitej, którzyby domagali się zniesienia skromnego ustawodawstwa społecznego z czasów zaborczych. Przecież nikt nie będzie żądał, by robotnice nasze pracowały w kopalniach pod ziemią, lub by robotnicy ginęli w straszliwych cierpieniach, wyrabiając zapałki z białego fosforu. Tego rodzaju żądania stawiają już dzisiaj kulisi w Chinach.

Tak wygląda nasza smutna rzeczywistość wobec utopji, o której mówił p. poseł Bitner.

Kraj, który nie troszczy się o swoich obywateli, dając im ochronę społeczną, ustawowo zagwarantowany dzień pracy, ubezpieczenia społeczne, nie może się rozwijać. Nędzarze pójdą do pracy, zmuszeni do tego głodem. Dzieci ich pracować już nie potrafią i ginąć będą tysiącami w brudzie i w ciemnocie, z powodu chorób zaraźliwych, a te, jak wiadomo, trafiają i do ulic bogatych. Anglja przed 120 laty nie troszczyła się o opiekę społeczną, nie myślała o ochronie prawnej robotnika. Rezultatem tego „liberalizmu", jak wówczas mówiono, był zupełny upadek moralny i fizyczny mas robotniczych. Doszło do tego, że władze woj-

skowe zaczęły się domagać opieki państwa nad robotnikiem w obawie, że może zabraknąć — rekruta. Anglja -- i nieco później Niemcy — zmieniły kierunek polityki swej, i właśnie dzięki ustawodawstwu społecznemu są potęgami przemysłowemi świata.

Polityka społeczna nie jest ani zbytkiem, ani ochłapem rzuconym masom niezadowolonym, lecz środkiem polityki państwowej w trosce o przyszłość Rzeczypospolitej.

Alfred Krygier.

DZIAŁALNOŚĆ KAS CHORYCH W POLSCE.

I.

POWIATOWA KASA CHORYCH W SOSNOWCU.

Powiat Będziński należy do najwięcej uprzemysłowionych terenów na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej.

Niepodzielnie zapanował tutaj bogaty przemysł węglowy, oraz inne działy, jak hutnictwo, metalurgja, włókiennictwo, przemysł szklany, papiernie, cementownie, ogniskując wokoło siebie nader gęste skupienie ludności.

Z racji przemysłowego terenu pow. Będzińskiego, zasadniczemi warstwami zamieszkującemi Zagłębie Dąbrowskie, są bezprzecznie pod względem liczebności rzesze robotnicze i rzemieślnicze.

Głównym więc powodem otwarcia Kasy Chorych w powiecie Będzińskim była niezbędna konieczność bezzwłocznego ubezpieczenia wszystkich sfer pracujących na wypadek choroby.

W tym więc tkwi wytłomaczenie przyczyny, że Powiatowa Kasa Chorych w Sosnowcu była 1-szą Kasą zorganizowaną na terenie b. Kongresówki i została powołana do życia na podstawie Dekretu Naczelnika Państwa już w marcu 1920 roku, a więc jeszcze przed ogłoszeniem i wprowadzeniem w życie Ustawy o Kasach Chorych z dnia 19-go marca 1920 roku.

Dominujący przemysł górniczy i hutnizcy w Zagłębiu Dąbrowskiem należy do nader niebezpiecznych dla zdrowia i życia robotników, wskutek częstych, a wprost niemożliwych do uniknięcia nieszczęśliwych wypadków przy pracy.

Powoduje to, iż organizacja Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu posiada wybitnie indywidualne oblicze, zgoła odmienne i niepodobne do innych Kas.

Objawia się to przedewszystkiem w koniecznem funkcjonowaniu jaknajwiększej ilości ambulatorjów rozrzuconych na całym obszarze Zagłębia, oraz prowadzeniu w jaknajszerszym zakresie lecznictwa szpitalnego.

Powiat Będziński posiada na swoim terenie tak uprzemysłowione centra jak: Sosnowiec, Dąbrowa, Będzin, Czeladź, Kazimierz, Zawiercie, Myszków i resztę okolicy, po której rozsiane są mniejsze kopalnie węgla, odkrywki, fabryki wraz z osiedlami ludzkiemi.

Dla osiągnięcia więc jaknajszybszej sprawności administracyjnej oraz leczniczej, obszar działalności Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu podzielony jest na 4 filje, a mianowicie: Sosnowiec, Będzin, Dąbrowa, i Zawiercie.

Każda filja pod kierunkiem lekarza dzielnicowego i kierownika Filji pozostaje w jaknajściślejszym kontakcie z Zarządem Centrali w Sosnowcu, pod jej ścisłym nadzorem i rozporządzeniami. W ten sposób cały powiat objęty jest siecią agend Kasy w postaci ambulatorjów, szpitali umożliwiających pracującym członkom Kasy i ich rodzinom uzyskanie bezzwłocznej pomocy lekarskiej w czasie choroby

Obrazując cyfrowo stan Kasy pod względem liczebności członków, działalności leczniczej i pod względem finansowym przedstawia się on w krótkich zarysach następująco:

Stan liczebny ubezpieczonych robotników, rzemieślników i pracowników umysłowych w Powiatowej Kasie Chorych w Sosnowcu w m-cu lipcu 1926 r. wynosił 80.122 członków w tem 62.622 mężczyzn i 17.500 kobiet. Członków rodzin było 101.869.

Zmniejszenie ilości ubezpieczonych tłomaczy się przejawiającym się kryzysem ekonomicznym w kraju, nader silnie odbijającym się na przemyśle węglowym, w następstwie czego ilość bezrobotnych w Zagłębiu Dąbrowskiem na początku roku 1925 wynosiła około 25.000 osób.

Lecznictwo w Kasie zostało ujęte 3-ma systemami:

1. udzielanie pomocy lekarskiej w ambulatorjach,
2. odwiedzanie przez lekarzy chorych obłożnie w domu,
3 leczenie w szpitalach.

Wybitną cechą lecznictwa Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu jest szeroki zakres szpitalnictwa.

Żadna inna z Kas w Polsce nie posiada takiej ilości szpitali co Sosnowiecka. Jest ich 10, w Sosnowcu 3, w Dąbrowie Górniczej 2, w Czeladzi 2, w Grodźcu zaś, Niemcach i Zawierciu po 1 -ym. W tej liczbie znajduje się 1 Zakład Położniczy w Sosnowcu i szpital dla zakaźnych w Czeladzi. W 4-ch z pośród tych szpitali, a to w szpitalu Sieleckim i Pogońskim w Sosnowcu, w szpitalu św. Barbary w Dąbrowie Górniczej i w szpitalu w Zawierciu są oddziały chirurgiczne dla ciężkiej chirurgji, oraz oddziały dla chorób wewnętrznych, nadto w szpitalu Sieleckim oddział ginekologiczno-ope-

racyjny i w szpitalach Pogońskim oraz Zawierckim oddziały dla okulistyki operacyjnej. W pozostałych szpitalach znajdują się oddziały dla lżejszej i t. zw. wypadkowej chirurgji i oddziały chorób wewnętrznych. Ogólna liczba łóżek w szpitalach wynosi 600.

Za rok 1925 ogólna ilość porad w ambulatorjach Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu wynosiła 1.468.579. Wizyt lekarskich po domach odbyto 83.241. Liczba chorych w szpitalach 7.740.

Liczba ambulatorjów rozrzuconych po całym powiecie wynosi 46 z 75-cioma gabinetami lekarskimi.

Pozatem pomoc lekarska udzielaną jest członkom Kasy w specjalnych Zakładach, a mianowicie:

1. Gabinet Roentgena z dwoma aparatami, gdzie dokonuje się prześwietleń, fotografowania oraz terapeutycznych naświetlań,
2. Gabinet do elektryzacji,
3. Gabinet do leczenia ciepłem powietrzem,
4. Gabinet Finsena,
5. Trzy gabinety lamp kwarcowych z 8-ma lampami.

Prócz tego Kasa posiada laboratorjum chemiko-bakterjologiczne, oraz histopatologiczne i własną wytwórnię leków, produkującą z górą 15-cie odmian najważniejszych preparatów farmaceutycznych, obniżając w ten sposób b. znacznie koszt pomocy lekarskiej.

Kalkulacja finansowa wykazała, że prowadzenie aptek we własnym zarządzie, a niekorzystanie z aptek obcych jest daleko idącą korzyścią dla Kas pod względem oszczędnościowym, a dla członków pod względem jakości otrzymywanych lekarstw. W myśl więc nakreślonego planu przez Zarząd, Kasa posiada 15 aptek pełnych, normalnych rozrzuconych po różnych miejscowościach Zagłębia Dąbrowskiego. Apteki te obsługiwane są wyłącznie przez siły fachowe t. j. dyplomowanych farmaceutów.

Aptek mniejszych przy ambulartorjach jest 24.

W aptekach Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu wydano ogółem w r. 1925 lekarstw 1.226.656. Przeciętna ilość wydanych lekarstw wynosi miesięcznie 102.221.

Z bilansu z roku 1925 wynika, że dochody Kasy Chorych wynosiła 7.715.128 zł. 88 gr.; w czem pozycja „składki członkowskie" 7.463.438 zł. 96 gr.

Rozchody Kasy Chorych składają się z kilkunastu pozycyj, w których pierwsze miejsce zajmują świadczenia na rzecz członków Kasy Chorych wynoszące ogółem 6.698.099 zł. 09 gr. co stanowi 86.8% ogólnej sumy dochodów. Poszczególne pozycje w dziale świadczeń są następujące: zasiłki w chorobie 1.309.201 zł. 27 gr.; zasiłki połogowe 101. 020 zł. 10 gr.; zasiłki pogrzebowe 187.431 zł. 95 gr.; zwroty gotówkowe 316.914 zł. 51 gr.; pensje personelu leczniczego 1.439.849 zł. 28 gr.; środki lecznicze i opatrunkowe 1.599.288 zł. 84 gr.; koszty leczenia szpitalnego 1.230.980 zł. 17 gr.; przewóz chorych i lekarzy 347.620 zł. 11 gr.; utrzymanie lokali ambulatoryjnych 111.792 zł. 86 gr.

Koszty administracyjne wynoszą 621.922 zł. 53 gr., co stanowi 8.06% ogólnej sumy dochodów. Wydatki ogólne 389.739 zł. 20 gr., co stanowi 5.05% ogólnej sumy wpływów.

Ogólna suma rozchodów w Kasie Chorych w roku 1925 wynosiła 7.709.760 zł. 82 gr. wobec tego nadwyżka dochodów nad wydatkami wyraża się sumą 5.368 zł. 06 gr.

Z tych paru cyfr przekonywujemy się, że Powiatowa Kasa Chorych nie uszczuplając w niczem świadczeń ustawowych leczniczych i zasiłków pieniężnych, oraz świadczeń nadzwyczajnych w okresie ciężkiego przełomu ekonomicznego 1925 roku, potrafiła nietylko zachować równowagę budżetową przy zmniejszaniu się dochodów, a powiększaniu świadczeń, lecz bez ograniczenia ich zdołała wyrównać rachunek przychodu z rozchodem — saldem 5.368 zł. 06 gr. na korzyść Kasy.

W roku 1926 obowiązuje Powiatową Kasę Chorych 28 grup zarobkowych. Minimum płacy 0.75 gr. a maksimum 12 zł. 50 gr. dziennie.

Kasa zatrudnia 80 dyplomowanych lekarzy przeważnie cały czas poświęcających Kasie, 22 dyplomowanych dentystów, 135 aptekarzy i innych pracowników aptecznych, 437 osób pomocniczego personelu lekarskiego (felczerzy, akuszerki, sanitarjusze, służba szpitalna) 261 urzędników, 65 służby niższej, 1 lekarz weterynarji i pomocnik felczer weterynaryjny.

Kierownictwo Powiatową Kasą Chorych w Sosnowcu już od 5-ciu lat spoczywa w fachowych i wytrawnych rękach Komisarza Rządowego p. Kazimierza Osiowskiego. Poza znanymi zaletami Komisarza tejże Kasy w dziedzinie ustawodawstwa ubezpieczeń społecznych i wybitnych zdolności organizacyjnych, P. Kasa Chorych ma Mu do zawdzięczenia, że w chwilach ciężkiego kryzysu ekonomicznego dotykającego wszystkie gałęzie przemysłu, a specjalnie węglowy, jak również i inne instytucje gospodarczo - handlowe potrafił z całą niezachwianą energją i żelaznym spokojem przetrwać ten przykry okres przełomu, nie uszczuplając w niczem agend Kasy i utrzymując ją na jaknajszerszym stopniu rozwoju.

Zastępcami Jego są pp. Wacław Wrzeszcz i Aleksander Willner.

Lekarzem Naczelnym Dr. Józef Zelenay, odznaczający się wysoką wiedzą lekarską, taktem, znajomością i umiłowaniem dziedziny medycyny społecznej, zastępcą Jego jest p. Dr. Aleksy Zdanowicz.

II.

DROHOBYCKA KASA CHORYCH W R. 1925.

Kasa drohobycka należy do najstarszych Kas w Polsce, gdyż początek jej datuje się od roku 1898.

Za czasów austrjackich zakres działania Kasy Chorych był dość ograniczony, gdyż nie podlegali ubezpieczeniu na wypadek choroby członkowie rodzin i służba domowa. Dopiero ustawa polska postawiła ubezpieczenie na wypadek choroby na odpowiedniej wyżynie i od tego też czasu datuje się najszybszy rozwój lecznictwa w Kasie.

Kasa drohobycka dzieli się na dwa ośrodki lecznicze t. j. na miasto Drohobycz i Borysław, gdzie koncentruje się cały przemysł naftowy. Niezależnie od powyższych dwu ośrodków Kasa posiada jeszcze pięć ambulatorjów w powiecie. Ogółem ubezpieczonych członków w Kasie z końcem roku 1925 było 19.086 plus członków rodzin 27. 125. W ciągu roku udzielono chorym porad lekarskich w ambulatorjach 218.263 chorym, oraz udzielono porad w mieszkaniach chorym 41.121.

Wykonano analiz w laboratorjum 3. 643, wydano w aptekach leków kombinowanych 204.450, gotowych 117.654, opatrunków 15.140.

Wykonano prześwietlań Roentgenem 408, naświetlań Roentgenem 336, dokonano zdjęć 264, leczono djatermją 156, naświetlano lampą kwarcową 304, elektryzacją i masażem leczono 1.521 osób.

Wysłano do miejscowości klimatycznych i kąpielowych 588 osób.

Do szpitali i Związku Kas we Lwowie wysłano 1.589 osób.

Wydano w ciągu roku członkom 875 okularów, 137 gorsetów ortopedycznych, 311 pasów przepuklinowych, 7 sztucznych nóg i rąk, pozatem wstawiono zębów 5.127, plomb 13.487, usunięto zębów 13.563.

Przypis za rok 1925 wynosił 2.583. 469. 70 zł., z czego wypłacono zasiłku chorobowego 661.971.48 zł. zasiłku pogrzebowego 13.835.18 zł. Wszystkie świadczenia w ciągu roku wynosiły 73.4% przypisu, koszta administracyjne 10.9%.

W maju 1925 roku Kasa drohobycka wspólnie z Kasą stanisławowską otworzyła własne Sanatorjum w Worochcie dla gruźlicznie chorych .

Sanatorjum to mieści 70 chorych, posiada własny aparat Roentgena, aparat do sztucznej odmy, leżalnie, kąpiele, i czynne jest w ciągu całego roku.

III.

SPRAWOZDANIE DOROCZNE ZA 1925 R.

Z działalności Powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie.

Wstęp.

Niniejsze sprawozdanie jest pierwszem sprawozdaniem rocznem z działalności Powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie i obejmuje wszystkie jednostki administracyjne Kasy, tak pod względem organizacyjnym, jak i zakresem działania. Powiatowa Kasa Chorych w Częstochowie rozpoczęła swą działalność z dniem 1 grudnia 1922 r. Komisarzem Kasy Chorych od początku jej istnienia aż do chwili oddania administracji Kasy wybranemu przez Radę Zarządowi był Komisarz Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu, p. Kazimierz Osiowski, który swe funkcje komisarza wykonywał przy pomocy swego zastępcy p. Tadeusza Witkowskiego.

Pierwsze wybory do Rady Powiatowej Kasy Chorych odbyły się w dniach 22, 23 i 24 czerwca 1924 r.

Rada Kasy.

Wybrana w dniach 22, 23 i 24 czerwca 1924 r. na podstawie postanowień art. 62 ustawy z dnia 19/5. 1920 r. Dz. U. №44, pozycja 272. Rada Kasy składa się z 90 Delegatów i tyluż zastępców. Przewodniczącym Rady wybrany był pierwotnie p. Antoni Kiermas, który w lipcu 1925 r. ze stanowiska tego zrezygnował. W miejsce p. Kiermasa wybrała Rada na posiedzeniu w dniu 5 września 1925 r. p. Romualda Jarmułowicza, który też obowiązki te dotychczas spełnia. Zastępcą Przewodniczącego Rady jest p. Antoni Furmańczyk.

Rada Kasy odbyła od czasu swego wyboru do końca roku 1925 pięć posiedzeń, a mianowicie: w dniu 4 lipca 1924 r. w sprawach wyboru Przewodniczącego Rady i jego zastępcy, wyboru Komisji Rewizyjnej i Komisji Rozjemczej, na tem też posiedzeniu wysłuchano krótkiego sprawozdania zastępcy Komisarza p. Witkowskiego, w dniu 16 i 23 sierpnia 1924 r. w sprawie wyboru Zarządu, w dniu 27 i 28 lutego 1925 r. w sprawach:

1. Uchwalenie regulaminu Rady,
2. Sprawozdanie Zarządu z przejęcia majątku Kasy na dzień 31 grudnia 1924 r.,
3. Budżet P. K. Ch. w Częstochowie za czas od 1 stycznia do 1 lipca 1925 r.,
4. Wybór 2-ch członków Komisji Rozjemczej na miejsce ustępujących pp. Dederki z listy ubezpieczonych i Kanczewskiego z listy pracodawców,
5. Zmiana § 106 Statutu Kasy,
6. Zmiana § 107 Statutu Kasy,

i wreszcie w dniu 5 września 1925 r. w sprawach:

1. Wybór Przewodniczącego Rady P. K. Ch. w Częstochowie,
2. Sprawa pokrycia niedoboru za rok 1924 i 1925,
3. Zatwierdzenie regulaminu służbowego dla funkcjonarjuszów P. K. Ch. w Częstochowie,

4. Sprawa wprowadzenia fotografji do legitymacji członków P. K. Ch. w Częstochowie,
5. Sprawa zakupna nieruchomości dla P. K. Ch. w Częstochowie,
6. Wybór Komisji Rewizyjnej,
7. Wolne wnioski.

Porządek dzienny pierwszych trzech posiedzeń został wyczerpany, natomiast z porządku dziennego posiedzenia z dnia 5 września 1925 r. załatwiono tylko sprawę wyboru Przewodniczącego Rady P. K. Ch., wybór Komisji Rewizyjnej i wolne wnioski, resztę spraw zostały załatwione albo na późniejszych posiedzeniach odbytych w roku 1926 (jak zakupno nieruchomości), albo też sprawy te są dotychczas otwarte.

Frekwencja Delegatów na posiedzeniach Rady ze strony ubezpieczonych wynosiła przeważnie 100% Delegatów, natomiast z grupy pracodawców zaledwie 20—40% Delegatów.

Zarząd Kasy.

Wybrany przez Radę na posiedzeniu w dniach 16 i 23 sierpnia 1924 r. Zarząd Kasy w osobach pp. inż. Bronisława Hłaski, Piotra Kozerskiego, Stanisława Kaliniewicza, Zygmunta Stillera, Bohdana Rytarowskiego, Joachima Dawidowicza ze strony pracodawców, Wacława Brzozowicza, Józefa Dziuby, Stefana Chrząstki, Wacława Chojnackiego, Leopolda Bałagi, Michała Szlezyngiera, Zygmunta Cardiniego, Edwarda Wichury, Wiktora Staniosa, Ludwika Próby, Ant. Turniaka i Karola Kujawskiego ukonstytuował się na posiedzeniu w dniu 27 i 29 sierpnia 1924 r., wybierając na swego Przewodniczącego p. inż. Bronisława Hłaskę, na zastępców Przewodniczącego pp.: Zygmunta Stillera, Wiktora Staniosa i Ludwika Próbę. Zarząd w powyższym składzie objął formalne urzędowanie od Komisarza Osiowskiego z dniem 31 grudnia 1924 r., jakkolwiek już od sierpnia 1924 do końca grudnia 1924 r. Zarząd ten odbywał posiedzenia, przedsiębrał uchwały i jego wpływ na kształtowanie się warunków pracy i linji administracyjnej w Kasie był decydującym.

Zarząd ten w powyższym składzie urzędował do dnia 19 maja 1925 r. Przez czas swego urzędowania, t. j. od 27 sierpnia 1924 r. do 19 maja 1925 r., odbył 17 posiedzeń. Praca Zarządu podzieloną była między Komisje: Ogólno - administracyjną, finansową, leczniczą i regulaminową. Jako przewodniczący tych Komisyj wybrani zostali pp.: Stanios, Stiller i Próba. Komisja regulaminowa z przewodniczącym p. Hłaską opracowała regulamin Rady. Czy i jakie posiedzenia odbyły te Komisje i jakie zapoczątkowały prace, ustalić się ściśle nie da, wobec braku jakichkolwiek materjałów. Uchwytnym wynikiem prac Komisji ogólno - administracyjnej było poprawianie i zaopinjowanie opracowanej przez b. referenta Kasy, a obecnego Dyrektora Kasy p. Miłkowskiego instrukcji kancelaryjnej, jak również opracowała cały szereg innych projektów między innemi i projekt statutu organizacyjnego, zaś Komisji Leczniczej ułożenie i wydanie lekospisu. Komisja Finansowa odbyła cały szereg posiedzeń, mających na celu uporządkowanie finansów Kasy.



Szpital w Sosnowcu Sielec.

W tym stanie rzeczy objęli urzędowanie w dniu 19 maja 1925 r. mianowani przez Okręgowy Urząd Ubezpieczeń w Warszawie Komisarze Kasy w oso-

bach p. Stanisława Kaliniewicza, jako Komisarza i p. Romualda Jarmułowicza. Zarząd jako taki został zawieszony w urzędowaniu. Wyżej wspomniani Komisarze prowadzili administrację Kasy do 21 września 1925 r., w którym to dniu oddali urzędowanie w ręce przywróconego przez Główny Urząd Ubezpieczeń w urzędowaniu Zarządowi. Praca sanacyjna w Kasie Chorych rozpoczęła się za czasów urzędowania Komisarzy. Przeprowadzono cały szereg dochodzeń przeciw urzędnikom Kasy, z czego w sześciu wypadkach oddano sprawę władzom sądowym, uporządkowano pobory urzędników i niższej służby w myśl obowiązujących przepisów prawnych. Wprowadzono w życie instrukcję Kancelaryjną i regulamin dla chorych, opracowano i wprowadzono w życie statut organizacyjny Kasy i instrukcję dla referenta gospodarczego. W myśl opracowanego statutu organizacyjnego zmieniono całą organizację Kasy, mianowicie zamiast 9 wydziałów, jakie w Kasie istniały, stworzono tylko 3 Wydziały, t. j. Wydział Administracyjny, Finansowy i Lekarski. Zapoczątkowano redukcję personelu przez wymówienie służby na 3 miesiące naprzód, wymówiono umowę z lekarzami, z lekarzami dentystami, z felczerami i pracownikami farmaceutami.

W tym stanie początkowej reorganizacji objął w dniu 21 września 1925 r. Zarząd urzędowanie. Zarząd ten zmienił się o tyle, że na miejsce p. inż. Hłaski, który zrezygnował i na miejsce p. Bohdana Rytarowskiego, który wyjechał do Warszawy na stałe, weszli pp. Gustaw Kohn i Józef Więcławski, zaś w dniu 10 września 1925 wybrano jako przewodniczącego Zarządu p. Edwarda Wichurę. Ten nowy Zarząd od września do końca 1925 r. odbył 10 posiedzeń i dokonał ustalenia nowej organizacji Kasy, przeprowadził redukcję personelu, która ogółem wyniosła 63 osoby, zawarł nową umowę z lekarzami, z lekarzami dentystami, z felczerami, z pracownikami farmaceutami, podporządkowując tem samem sprawy personalne tych pracowników z korzyścią dla Kasy i ubezpieczonych. Jedynie umowa z pracownikami farmaceutami zawartą została prowizorycznie. Następnie, wychodząc z założenia, że tylko scentralizowanie biur i ambulatorjów Kasy Chorych, rozrzuconych na całem terytorjum miasta Częstochowy, da możność racjonalnego i celowego leczenia i administracji, wyłonił ze swego łona Komisję Budowlaną, w skład której weszli pp. Dziuba, Brzozowicz, Stanios, Kujawski, Dawidowicz, z urzędu należą Przewodniczący Zarządu p. Wichura i Dyrektor Kasy p. Miłkowski. Komisja ta wybrała, jako przewodniczącego p. Dziubę. Działalność tej Komisji, ponieważ wybraną ona została dopiero z końcem miesiąca grudnia 1925 roku, będzie można opisać dopiero w sprawozdaniu za rok 1926.



Ambulatorjum Huta Katarzyna w Sosnowcu.

Rzecz prosta, że prace Zarządu nie są zakończone i nie mogą ograniczyć się jedynie do normalnego administrowania Kasą, gdyż Zarząd ten w tym, czy innym składzie, oczekuje cały szereg prac, nad dalszem udoskonaleniem i rozwojem Kasy Chorych. Szczegóły działalności Zarządu za rok 1925 zawarte będą w poniżej opisanych działach.

Komisja Rewizyjna.

Komisja Rewizyjna, wybrana na posiedzeniu Rady w dniu 4 lipca 1924 r. w osobach pp. Bolesława

Dzierzbickiego, Tobjasza Fogelbauma, Ludwika Pawełkiewicza, Ferdynanda Szmidli, Jana Gurtmana i Michała Altera, ukonstytuowała się w dniu 10 września 1924 r., wybierając na swego przewodniczącego p. Ludwika Pawełkiewicza, zastępcę przewodniczącego p. Tobjasza Fogelbauma, zaś sekretarzem p. Bolesława Dzierzbickiego. Komisja ta do dnia 19 czerwca 1924 r., w którym to dniu wniosła rezygnację, umotywowaną ignorowaniem Komisji Rewizyjnej przez mianowanych Komisarzy, odbyła posiedzeń 14.

W dniu 5 września 1925 r. wybrana została przez Radę nowa Komisja Rewizyjna w składzie p. Antoniego Kiermasa, Tobjasza Fogelbauma, Michała Altera, Bolesława Dzierzbickiego, Rafała Federmana i Ferdynanda Szmidli, która w dniu 7 września 1925 r. ukonstytuowała się, wybierając na przewodniczącego p. Antoniego Kiermasa, Zastępcę p. Fogelbauma, sekretarza p. Dzierzbickiego. Komisja ta wyłoniła ze swego łona podkomisje, a mianowicie pomocy lekarskiej, buchalteryjną i gospodarczą. W okresie od 7/9 do 31/12 1925 r. Komisja odbyła 11 posiedzeń plenarnych, a podkomisja pomocy lekarskiej 7 posiedzeń, podkamisja buchalteryjna 6 i gospodarcza 2 posiedzenia.

Komisja Rewizyjna przeprowadzała cały szereg rewizyj różnych jednostek administracyjnych Kasy i postanowiła cały szereg wniosków, mających na celu polepszenie organizacji lecznictwa. Wiele tych wniosków, z chwilą wniesienia ich przez Komisję Rew., było już w opracowaniu Zarządu Kasy i zastały pomyślnie rozwiązane, niektóre zaś, jak sprawa uruchomienia ambulatorjum dla dzieci i zwrócenie uwagi na nienależyte traktowanie chorych przez niektórych lekarzy, były wyłącznie inicjatywą Komisji Rewizyjnej.

Komisja Rozjemcza.

Komisja Rozjemcza, powołana do rozstrzygania sporów między Zarządem Kasy, a ubezpieczonemi, wybrana na posiedzeniu Rady w dniu 7-ym lipca 1924 w osobach pp. Józefa Ślęzaka, D-ra Hipolita Gajzlera, Adama Kanczewskiego, Franciszka Dederki i Stefana Szafrańskiego, uległa następnie pewnym zmianom personalnym tak, że obecny jej skład osobowy jest następujący: Przewodniczący p. Józef Ślęzak, członkowie pp. Dr. Gajzler, Piotrowski, Szafrański i Bednarek.

Komisja ta odbyła do końca roku 1925 posiedzeń 7 i rozstrzygnęła 65 sporów.



Apteka Kasy Chorych w Sosnowcu

Dyrektor Kasy.

Dyrektorem Kasy do 30 czerwca 1925 r. był p. Tadeusz Witkowski, zwolniony ze służby przez Komisarzy Kasy z dniem 1 lipca 1925 r.; poruczono pełnienie obowiązków dyrektora referentowi Kasy p. Wojciechowi Miłkowskiemu, którego też Zarząd Kasy na posiedzeniu w dniu 17 grudnia 1925 r. mianował Dyrektorem, a Okręgowy Urząd Ubezpieczeń w Warszawie zatwierdził. Jak już wyżej zaznaczono, organizację Kasy Chorych podzielono na trzy Wydziały, na czele których stoi Dyrektor Kasy, na czele zaś Wydziałów Naczelnicy Wydziałów.

Wydział Administracyjny.

Stanowisko Naczelnika Wydziału Administracyjnego, który równocześnie winien być i zastępcą Dyrek-

tora, nie jest dotychczas ze względów oszczędnościowych obsadzone, a zastępczo pełni obowiązki Naczelnika Wydziału referent p. Eugenjusz Fulman (obecnie od dłuższego czasu chory).

Wydziałowi temu podlegają:

Referat osobowy	. . . . .	1 urzędnik
„ Reklamacyjno-Karny	.	2 urzędników
„ Gospodarczy	. . . .	2 urzędników

Kancelarja Kasy 3 urzędników i 2 maszynistki.

Wpływ aktów za rok 1925 wynosił 17,161 aktów. Nadto dzienny ruch w Kasie w poszczególnych referatach wynosi przeciętnie:

U urzędnika informacyjnego .	200	osób
„ referenta osobowego . .	10	„
„ „ Rekl. Karn. .	30	„
„ „ Gospodarczego .	5	„
W kancelarji Kasy . . .	50	„
Razem .	295	osób

dziennie, a biorąc za podstawę 300 dni roboczych w roku, wypada do załatwienia na dzień pisemnie 60 spraw.

Z ogólnych zestawień wynika, że w stanie biernym znajduje się pozycja 272,108 zł. 60 gr., jako sumy odpisanej na fundusz zapasowy za rok 1925, natomiast w stanie czynnym niedobór w wysokości 68,717 zł. 94 gr., czyli, że faktycznie na fundusz zapasowy pozostała kwota 203,462 zł. 66 gr. i z taką nadwyżką bilansową zamknęłaby Kasa Chorych swą roczną gospodarkę, gdyby nie ciążył na niej obowiązek ustawowy odpisywać corocznie na fundusz zapasowy 10% wpływu i całego wpływu z tytułu kar.

Każdy z pp Delegatów Rady przypomni sobie zapewne, że na porządku dziennym posiedzenia Rady w dniu 5 września 1925 r. była na 2 miejscu sprawa pokrycia niedoboru za rok 1924 i 1925. Niedobór za rok 1924 wynosił 112,318 zł. 71 gr. i wynikł on z niedokładnego zestawienia bilansu za rok 1924, o czem do dnia 5 września 1925 r. jeszcze nie wiedziano.

Niedobór ten po wykazaniu niedokładności przez Min. Pracy i Opieki Społecznej, książkowo znikł. (Tu zaznaczyć należy, że bilans i rachunek strat i zysków za rok 1924 został jeszcze przez Zarząd p. inż. Hłaski sporządzony, podpisany i wysłany). Natomiast pozostał niedobór za rok 1925, który wedle prowizorycznych zestawień we wrześniu 1925 r. wynosił: 128,382 zł. 53 gr. Jeżeli zatem rok 1925 zamykamy z niedoborem tylko 68,717 zł. 94 gr., to cyfry te mówią same za siebie, stwierdzają, że mimo nader ciężkich czasów, wywołanych przesileniem ekonomicznem kraju, gospodarka w Kasie Chorych była racjonalna i celowa.

Tu zaznaczyć jeszcze należy, że gdyby Kasa Chorych mogła korzystać ze wszystkich praw, zawarowanych ustawą uprawnień i gdyby w okresie gospodarczym nie rozpoczął się spadek naszej waluty, co spowodowało podrożenie wszystkich materjałów leczniczych i opatrunkowych, to wówczas i ten niedobór nie istniałby.

Tymczasem 1) w czasie od września 1925 r. do grudnia 1925 r. wartość złotego spadła o 50 proc., co spowodowało podrożenie wyżej wspomnianych środków o ten sam procent, natomiast składki ubezpieczeniowe się nie podniosły, lecz owszem z powodu redukcji i zamykania warsztatów pracy zmalały, 2) wedle pierwotnego brzmienia art. 24 ustawy z dnia 19/5 1920 r. Dz. U. Nr. 44, pozycja 272 — Kasa Chorych miała zabezpieczony zwrot kosztów, wynikłych z leczenia i świadczeń dla członków Kasy Chorych — chorych z wypadku w pełnej wysokości. Ustawa o ubezpieczeniu od wypadków przekreśliła ten przywilej na korzyść Zakładu Ubezpieczeń od wypadków, bowiem leczenie chorych z wypadku przez pierwsze 4 tygodnie odbywa się wyłącznie na koszt Kasy, i dopiero począwszy od 5 tygodnia choroby, Zakład zwraca Kasie kwoty w wysokości przyznanej renty, a ponieważ renty te w większości wypadków nie dorównywują nawet wysokości wypłacanych zasiłków i ponieważ 80 proc. chorych z wypadków zostaje wyleczonych przed upływem 4 tygodni, przeto Kasa Chorych traci z powodu wyżej opisanego przynajmniej 200,000 zł. rocznie.

Wniosku co do pokrycia wykazanego powyżej deficytu, Zarząd Kasy na razie nie stawia, mając nadzieję, że deficyt ten da się pokryć w ciągu roku 1926, jakkolwiek należy na taką możliwość zapatrywać się bardzo pesymistycznie, a to z uwagi na dalszy ciąg przesilenia ekonomicznego. Następnie z rachunku działalności pozycji „G" rozdziału „koszty ogólne" znajduje się pozycja 35,005 zł. 93 gr. wydane w roku 1925 na zakup ruchomości. Cała ta kwota w myśl polecenia władz nadzorczych uległa całkowitej amortyzacji, jakkolwiek ruchomości te w Kasie się znajdują i stanowią przynajmniej 75 proc. swej pierwotnej wartości.

Że uzyskano w tak ciężkim czasie stosunkowo pomyślny stan finansowy, jest to zasługą przedewszystkiem Komisarzy Kasy, którzy zapoczątkowali okres sanacyjny w Kasie, następnie Zarządu, który rozpoczętą przez Komisarzy sanację przeprowadzał i ulepszał, wreszcie kierownictwa Kasy, które przez trafne i celowe ujmowanie spraw i przygotowanie projektów sanacyjnych umożliwiło tę sanację.

Zaznaczyć tu należy i tę okoliczność, że przez redukcję personelu, obniżenie płac, zawarcie nowych umów z lekarzami, lekarzami dentystami i felczerami i dzięki życzliwemu stanowisku wszystkich kategoryj pracowników Kasy, polegającym na zrozumieniu ciężkiej sytuacji finansowej i zgody na dość dalekie ustęp-

stwa, obniżono wysokość poborów i wynagrodzeń wszystkich pracowników, wynoszącą w roku 1925 od 100,000 — 105,000 zł. miesięcznie, na 72 — 78,000 miesięcznie, mimo całego szeregu ulepszeń w lecznictwie na korzyść ubezpieczonych.

W powyższym rachunku działalności uderza również niepomiernie wysoki odsetek kosztów, wydanych na efektywne świadczenia członkom i ich rodzinom. Wydatki te wynoszą aż 78,12% wszystkich wydatków Kasy, wówczas, gdy w innych Kasach wynoszą one od 50 do 70 proc. Najcharakterystyczniejszem przy tych tak niepomiernie dużych kosztach świadczeń jest to, że słyszy się ogólne narzekania, iż Kasa Chorych nic nie daje, jest tylko dla urzędników, lekarzy i t. p. Tymczasem fakta mówią same za siebie i podobne wieści jak powyżej o Kasie Chorych mogą rozsiewać tylko przeciwnicy tejże. W rozdziale sprawozdania p. t. Wydział Lekarski będą szczegółowo ujęte cyfry, co Kasa Chorych dała swym członkom i ich rodzinom w roku 1925 za kwotę 2,226,612 zł. 85 gr., tyle bowiem wydano na efektywne leczenia i świadczenia dla członków Kasy i ich rodzin.

Obecnie zaznaczyć tu należy, że bezspornie za tak dużą sumę możnaby ubezpieczonym i ich rodzinom dać więcej, niż dotychczas, do tego koniecznem jest jednak:

1) aby ubezpieczeni nie wypożyczali swych legitymacji osobom nienależącym do Kasy,

2) aby ubezpieczeni i ich rodziny zrozumiały swój własny interes w dobrze prosperującej Kasie, a tem samem nie nadużywały świadczeń Kasy i

3) skoncentrowanie wszystkich ambulatorjów miejskich i wszystkich biur Kasy w jednym punkcie. W tym celu Zarząd Kasy już w roku 1926 zakupił plac budowlany i czyni energiczne starania o zdobycie funduszów na budowę gmachu centralnego, następnie w roku bieżącym wprowadzony będzie nowy typ legitymacyj członkowskich z fotografjami, wreszcie Zarząd przeciwstawi się z całą energją przeciw nadużywaniom Kasy Chorych przez niektórych członków Kasy.



Sala w Szpitalu Kasy Chorych w Sosnowcu Pogoń.

Wydział Lekarski.

Lekarzem Naczelnym w roku 1925 był p. Dr. Kazimierz Okuszko, zastępcą tegoż Dr. Stefan Purski.

Zreorganizowany Wydział Lekarski rozpoczął swe czynności od 1 listopada 1925 r. i od tegoż też czasu w skład Wydziału Lekarskiego wchodzi:

1) Referat Lecznictwa,

2) Referat farmaceutyczny.

Przeciętny dzienny ruch interesantów w Wydz. Lekarskim 250 osób. Ilość urzędników 4 i 3 kontrolerów chorych.

Referat Farmaceutyczny obsadzony jest chwilowo prowizorycznie.

Na rok 1926 przewidziany tylko lekarz naczelny bez zastępcy.

W dziale lecznictwa dokonano do chwili objęcia administracji Kasy przez Zarząd co następuje:

1) Utworzono i uruchomiono począwszy od 1/11 1925 r. nocne pogotowie lekarskie, które udziela pomocy lekarskiej w nagłych wypadkach i w porze, gdy ambulatorja są zamknięte, t. j. od godz. 20 wieczór do godz. 8 rano i w niedziele i święta. Przeciętna ilość

udzielanych pomocy i wyjazdów wynosi 300 na miesiąc.

2) Zniesiono wysoce niedogodne i niepraktyczne własne ambulatorjum dentystyczne i zawarto z lekarzami dentystami nową umowę, na podstawie której lekarze dentyści chorych dentystycznie członków Kasy i ich rodziny przyjmują w swych prywatnych gabinetach, przez co uzyskano nietylko racjonalne leczenie zębów, ale i dogodność dla chorych.

3) Zawarto nową umowę z lekarzami Kasy, podporządkowując tych ostatnich pod względem administracyjnym Zarządowi Kasy i normując wynagrodzenie.

4) Zawarto nową umowę z felczerami, podobnie pod 3).

W dziale leczniczym posiada Kasa:

a) 20 ambulatorjów, z tego 8 w mieście, zaś 12 na prowincji. W 8 ambulatorjach miejskich są ambulatorja specjalistyczne, jak oczne, ginekologiczno-akuszeryjne, jak weneryczne i chirurgiczne. Nadto dwóch lekarzy laryngologów (choroby uszu, gardła, nosa i t. p.) przyjmuje u siebie w domu. Ambulatorjum dla dzieci jest dotychchczas łącznie z ambulatorjum chorób wewnętrznych, t. j. ambulatorjum Nr. 3 i Nr. 5.

b) Jeden szpital dla chorób wewnętrznych w Rakowie na 38 łóżek. W roku 1926 powiększono na 68 łóżek.

c) 3 apteki własne.

d) Dr. Kon - Konar wykonywuje prace analityczne, t. j. wszelkie analizy i badania bakterjologiczne.

e) Dr. Bram przyjmuje chorych, potrzebujących naświetlań i prześwietlań aparatem Roentgena, zaś Dr. Grunbaum leczy elektroterapją. Lecznictwo elektroterapją rozdzielone jest od 1/1 1926 r. między trzech lekarzy, t. j. Dr. Grunbauma, Dr. Brama i Spółkę Lekarską.

f) Szpitale miejskie, jak również szpital żydowski leczą członków Kasy i ich rodziny. W ciągu roku 1925 dokonano porad i zabiegów, wydano recept, leczono i t. p. jak następuje:

I. Udzielono *lekarskich porad:*

w ambulatorjach	221,903
w domu	18,705
felczerskich porad:	
w ambulatorjach	70,760
w domu	15,897
dentystycznych zabiegów	46,320
pomocy akuszeryjnych	3,800 osobom

Lekarze laryngolodzy udzielili u siebie w domu 7,443 porad.

II. W szpitalu własnym leczono chorych przez 13,380 dni, zaś w szpitalach obcych chorych przez 59,914 dni, ogółem dni szpitalnych 73,294 dni.

III. Apteki własne wydały lekarstw na około 125,000 recept, zaś apteki prywatne 116,767 recept, razem 241,767 recept.

IV. Dr. Kon - Konar dokonał 2,088 analiz.

V. Dr. Bram przyjął 408 osób.

VI. Dr. Grunbaum 708 osób.

VII. Wysłano dla ustalenia djagnozy do Krakowa osób 31.

VIII. Wysłano na kurację do Buska 8 osób, 36 dzieci.

W porównaniu do powyżej obejmujących wykazanych cyfr, obejmujących świadczenia w Kasie Chorych, ubezpieczonych było przeciętnie 31,563 osób, zaś członków rodzin 40,001 osób, ogółem 71,564 osób, którym Kasa Chorych udzielała świadczeń.

Przy końcu pozwalamy sobie zaznaczyć, że słyszy się codziennie cały szereg utyskiwań i skarg na Kasę Chorych. Wszystkie te żale tworzą przeważnie materjał lotny, niedający się sprawdzić czy i o ile żale te są uzasadnione. W przeważnej ilości tego rodzaju skarg, zapytać o konkretne fakta, słyszy się odpowiedzi, że tamto lub owo o Kasie Chorych słyszałem, od osób znajomych lub nieznajomych, adresów których ustalić nie można. Tego rodzaju rozsiewanie nieprawdziwych i nieuzasadnionych żalów przynosi cały szereg szkód moralnych Kasie Chorych i powoduje obniżenie jej powagi i autorytetu.

Kasa Chorych, jako instytucja prawa publicznego, rządzi się i rządzoną jest na podstawie przepisów prawnych, dlatego też wszystkich tych, którzy pozostają w jakiejkolwiekbądź styczności z Kasą Chorych, prosimy na wypadek stwierdzenia lub dostrzeżenia nadużyć lub usterek donosić o tem ustnie lub pisemnie Zarządowi lub Dyrekcji Kasy, która po bezstronnym zbadaniu sprawy winnych zaniedbań — pociągnie do odpowiedzialności, natomiast powstrzymać się od rozsiewania niesprawdzonych pogłosek, przeciw którym Zarząd Kasy przedsiębrał będzie jak najenergiczniejsze środki, nie wyłączając oddawania pod Sąd osób, rozsiewających plotki o treści ubliżającej lub oskarżającej Kasę Chorych.

Przewodniczący Zarządu
(—) *Edward Wichura.*

Dyrektor Kasy
(—) *Wojciech Miłkowski.*

IV.

POWIATOWA KASA CHORYCH W PIOTRKOWIE.

W dniu 1 marca 1926 roku liczyła Kasa 9315 ubezpieczonych i 10317 członków rodzin. Ogółem uprawnionych do korzystania z pomocy na wypadek choroby było 19632 osoby.

W roku 1925 nastąpiło otwarcie 2 ambulatorjów: w Niechcicach i w Wolborzu, ogółem zaś Kasa rozporządza 11 ambulatorjami, posiadającemi 20 gabinetów lekarskich, dentystycznych i felczerskich. W tymże roku uruchomiono gabinet naświetlań lampą kwarcową i Sollux oraz laboratorjum analityczne. Celem sprawniejszego obsługiwania chorych nabyto karetkę samochodową „Ford". Przeciętnie Kasa Chorych w Piotrkowie udziela około 10,000 porad (lekarskich, dentystycznych i felczerskich) miesięcznie.

W roku bieżącym projektowane są pewne inwestycje, mające na celu podniesienie lecznictwa.

V.

POWIATOWA KASA CHORYCH W KIELCACH.

Kasa czynna od 10 grudnia 1924 roku. Władze Kasy: Komisarz Rządowy Jan Sulimirski.

W powiecie uruchomiono 4 oddziały, a mianowicie: w Suchedniowie, Zagnańsku, Białogonie i Chęcinach.

Ubezpieczonych 9.299, rodzin 12.625.

Lekarzy zatrudnionych 21, z których 3 lek. dent.

Gabinetów lekarskich w Kielcach 7, z uwzględnieniem leczenia specjalnego.

Wybory do Rady Kasy odbyły się 19 września 1926 r.

VI.

KASA CHORYCH W KRAKOWIE.

Kasa powstała w r. 1899, należy więc do jednej z najstarszych Kas Chorych w Polsce.

Rada Kasy składa się z 90 członków, Zarząd Kasy — z 18 członków

Obecna dyrekcja: Sen. Englisch Jan dyr., Żychowicz Wład. wicedyrektor i Dr. Michałowski, sekretarz.

Ambulatorja i biura mieszczą się w budynkach własnych przy ul. Dunajewskiego L. 5 i pl. Serkowskiego L. 17; pozatem udziela się porad lekarskich w szeregu przychodni, rozrzuconych po mieście i na prowincji.

Personel składa się z: 71 lekarzy, 65 osób pers. ambulatoryjnego, 2 akuszerek, 26 aptekarzy, 18 dentystów i techników oraz 81 osób pers. administracyjnego.

W roku 1925 przypisano składek 4.497.000. Opłata na 1 członka przypada 39.20 zł. + opłaty pracodawców.

Świadczeń wypada na 1 członka zł. 78.44, t. j. 76% do ogółu przychodów. Zasiłków chorobowych i położniczych wypłacono sumę zł. 1.593.081 za dni choroby 781.000!

Koszta administracji wyniosły w stosunku do przychodów tylko 9,1%.

Cyfry te mówią same za siebie, zadając kłam przeciwnikom Kas Chorych, jakoby te nie gospodarowały należycie funduszami i nie świadczyły odpowiednio członkom Kasy.

Zamierzeniem Zarządu, na którego czele stoi od r. 1908 nieprzerwanie p. poseł Zygmunt *Żuławski*, jest wybudowanie nowego gmachu dla pomieszczenia ambul. na parceli przy ul. Batorego L. 3.

VII.

POWIATOWA KASA CHORYCH W CHRZANOWIE.

Kasa założona w roku 1889 na mocy ustawy austrjackiej z roku 1888, zreorganizowana w roku 1921 na mocy ustawy z roku 1920, liczy członków 18.490.



Powiatowa Kasa Chorych w Chrzanowie. Filja Trzebinia.

Zarząd Kasy składa się z 18-tu członków, Przewodniczący Zarządu Paweł Pilch, Dyrektor Kasy Franciszek Baczakiewicz; zatrudnia 32 urzędników, 11 kontrolerów chorych i sanitarjuszy, 1 lekarz naczelny Dr. Kazimierz Woynarowski i 15-tu lekarzy, ma własne filje w Jaworznie, Krzeszowicach, Sierszy i Trzebini, z centralą w Chrzanowie.

VIII.

KASA CHORYCH m. LWOWA.

Założona została w r. 1889. Na czele obecnego Zarządu stoją: *Szczyrek Jan*, redaktor, *Dr. Rafał Buber*, adwokat i *Kusyk Andrzej*, drukarz. Dyrektor Kasy *D. Salamander*, Zast. *Dr. St. Zakrzewski*. Biura Kasy, ambulatorjum chirurgiczne i interna w własnym gmachu przy ul. Brajerowskiej 8. Ambulatorja: dla dzieci, chorób ocznych, gardła, nosa, skórnych, dentystyka, laboratorjum chemiczno - lekarskie w własnym czteropiętrowym gmachu przy ul. Batorego 38, drugie ambulatorjum dla interny przy ul. Mikołaja 15.

Dwie apteki własne, trzy aparaty Roentgena — lampy kwarcowe.

Własny zakład leczniczy z oryginalnemi kąpielami siarczanemi w Szkle, powiat Jaworów. Chorych na płuca leczy Zarząd w Hołosku ad Lwów i w specjalnym sanatorjum Worochta Wsch. Karpaty.

Rekonwalescentów w sanatorjum Bystra.

Operacje i połogi przeprowadza Zarząd w lecznicy O. Z. K. Chor. ul. Dwernickiego 3. Choroby krwi, nasięki, skrofuły w Iwoniczu.

Zarząd zatrudnia 87 lekarzy i pomocników lekarskich50, pracowników administr. — 75.

Ilość czł. ubezpiecz. — 46.083, czł. rodzin — 80.683, razem *126.766*.

IX.

POWIATOWA KASA CHORYCH W STRYJU.

Powiatowa Kasa Chorych w Stryju istnieje od roku 1889. Do okręgu działalności tej Kasy należą 2 powiaty polityczne, t. j. powiat stryjski i żydaczowski. Od roku 1924 posiada Kasa okazały budynek własny.

Prezesem Rady jest p. Dr. Norbert Schiff, adwokat. Prezwodniczącym Zarządu p. Michał Pyć, przemysłowiec. Dyrektorem jest p. Stanisław Piasecki.

Obecna liczba ubezpieczonych wynosi 7.600 i członków rodzin ubezpieczonych 9.000.

Pomocy lekarskiej udziela 5 lekarzy w 2 ambulatorjach kasowych w siedzibie Kasy i 4 lekarzy we własnych ambulatorjach w powiecie żydaczowskim. Ponadto korzystają ubezpieczeni i ich rodziny z pomocy lekarsko - dentystycznej w 3 zakładach, z leczenia fizykalnego w 2 ambulatorjach lekarskich.

X.

POWIATOWA KASA CHORYCH W CHEŁMIE.

Kasa rozpoczęła swą działalność 10 marca 1925 r. i obecnie znajduje się pod zarządem Komisarza Rządowego, p. Tadeusza Witkowskiego.

Ilość członków Kasy 3.400, członków rodzin — 4.200, razem korzysta ze świadczeń Kasy 7.600 osób.

Kasa posiada jedno centralne ambulatorjum w Chełmie i 3 ambulatorja w powiecie oraz zatrudnia 6 stałych lekarzy, 4 lek. - dentystów, 3 felczerów i 3-ch sanitarjuszy.

XI.

POWIATOWA KASA CHORYCH W HRUBIESZOWIE.

Kasa działalność swą rozpoczęła 16 sierpnia 1924 r. i znajduje się pod zarządem Komisarza Rządowego, p. Tadeusza Witkowskiego, którego zastępuje na miejscu p. Ryszard Wcisło.

Ilość członków Kasy 1650, członków rodzin — 1700, razem korzysta ze świadczeń Kasy 3350 osób.

Kasa posiada jedno centralne ambulatorjum w Hrubieszowie i 2 ambulatorja w powiecie oraz zatrudnia 7 lekarzy, 3 felczerów i 1 sanitarjusza.

XII

POWIATOWA KASA CHORYCH W BIŁGORAJU.

Kasa obecnie znajduje się pod zarządem Komisarza Rządowego, p. Tadeusza Witkowskiego, którego zastępuje na miejscu p. Duplicki Tadeusz.

Ilość członków Kasy 850, członków rodzin 900, razem korzysta ze świadczeń Kasy 1750 osób.

Kasa posiada jedno centralne ambulatorjum w Biłgoraju i 1 ambulatorjum w powiecie oraz zatrudnia 5 lekarzy i 2 felczerów.

XIII.

POWIATOWA KASA CHORYCH WE WŁODAWIE.

Kasa działalność swą rozpoczęła 1 lipca 1926 r. i obecnie znajduje się pod zarządem Komisarza Rządowego, p. Tadeusza Witkowskiego, którego zastępuje na miejscu p. Duplicki Brunon.

Na razie ubezpieczonych około 1400 osób. Kasa posiada jedno centralne ambulatorjum we Włodawie i 2 ambulatorja w powiecie: 1 — przy Hucie szklanej Dubeczno i 1 — w Uhursku oraz zatrudnia 5 lekarzy, 2 felczerów i 1 sanitarjusza.



Sosnowiec Restauracja i Cukiernia Warszawska.

KILKA SŁÓW O GENEZIE UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH.

W Polsce panuje obecnie niezwykła, że tak powiemy, łatwość słowa. Wszystko, co niewygodne, nieznane, nowe, dziwne, krytykuje się łatwo i zgryźliwie, a najczęściej bez skromnego nawet zbadania sprawy. Tak się także postępuje z Kasami Chorych. Cóż dla tych panów - krytyków znaczy ta okoliczność, że Kasy Chorych powstawały u nas i rozwijają się dotychczas w niezwykle trudnych warunkach, że się budowały i organizowały w czasach dewaluacji, kiedy wszelkie budżety i obliczenia waliły się jak spruchniałe płoty, a kto mógł szkodził i krzyczał, choć sam nie wiedział, dlaczego krzyczy. Kasy Chorych, jako instytucje prawa publicznego, rządzą się i rządzone są na podstawie przepisów prawa, i nadużycia, które się w nich dzieją, nie są gorsze czy większe od innych nadużyć, i wypływają z tej samej ułomności ludzkiej. Należy więc walczyć z ułomnościami i podłością ludzką, ale nie z Kasami Chorych, których powstanie jest bezsprzecznie ważną zdobyczą niepodległej Polski.

Dlaczego?!

Od czasów zamierzchłych walczy człowiek z chorobą i cierpieniem. Różnie w czasach różnych. Niegdyś z chorym niewolnikiem nie wielkie robiono ceregiele. Nie dla niewolników była sztuka Eskulapa, dla niewolników był trud, bat i śmierć. W ustroju feudalnym, wyszkolenie robotnika cechowego wymagało nakładu czasu i środków, skutkiem czego zdrowie jego miało już sporą cenę dla pana majstra. To też Kasy Cechowe pomagały chorym. Nadchodzi później ustrój kapitalistyczny. Zwycięża. Wytwarza nowy typ robotnika. Robotnik ten, oddany z początku na łup wyzysku i uciemiężenia, powoli budzi się, wychodzi z mroku, dąży do światła, stwarza wreszcie ogrom sprawy społecznej, która od połowy wieku XIX-go coraz bezwzględniej wysuwa się na czoło zagadnień polityki społeczno - ekonomicznej państw i narodów.



Powiatowa Kasa Chorych w Chrzanowie Filja Siersza.

W każdem społeczeństwie, w zależności od historycznych warunków, zagadnienie to różnie się kształtowało, ale wszędzie decydowało i decyduje stanowisko mas, ich stopień uświadomienia i energja, stan ich organizacyj, wybór ludzi. Od tych czynników zależały i zależą szybkość i jakość następstw, koncesyj, reform, i całe prawodawstwo społeczne.



Powiatowa Kasa Chorych w Chrzanowie Filja Jaworzno.

Kolebką ubezpieczeń społecznych są Niemcy. Trzeba jednak pamiętać, że zanim „żelazny książe" (Bismark) oznajmił, iż dla uleczenia zła społecznego „trzeba polepszyć dobrobyt robotników, ofiarując im coś realnego" — hulał przedtem wyzysk i biały teror. Więziono, karano, sądzono. Zamykano związki, ogłaszano nawet stan oblężenia, posługiwano się straszliwemi represjami, aby się przekonać, że... do niczego to nie prowadzi. Ustąpiono po tej ciężkiej walce, i w r. 1883 powstały pierwsze w świecie ustawy ubezpieczeniowe. Była to wielka zdobycz mas pracujących.

Niepodległa Polska dała ubezpieczenia społeczne już w r. 1920. Zaszczyt to nam przynosi. Proste słowa „celem obowiązkowego ubezpieczenia na wypadek choroby tworzy się Kasy Chorych, po jednej na każdy powiat" są ważną zdobyczą mas pracujących, to jest miljonów ludzi. Tego nie obali żadna krytyka, i o tem pamiętać należy.

Żet.

LEGION POLSKI W TURCJI.

(na terenie azjatyckim).

ZE WSPOMNIEŃ OFICERA TEGOŻ LEGJONU TEODORA LAUDYNA.

Ze wstępem Jana Grzegorzewskiego.

Zawdzięczając niezwykłej przychylności W. Pana Radcy Teodora Laudyna (ze Lwowa) jesteśmy w możności ofiarować czytelnikowi bardzo ciekawy fragment z dziejów polskich walk o niepodległość.

W. Panu Radcy Teodorowi Laudynowi składamy na tem miejscu raz jeszcze jak najgorętsze podziękowanie.

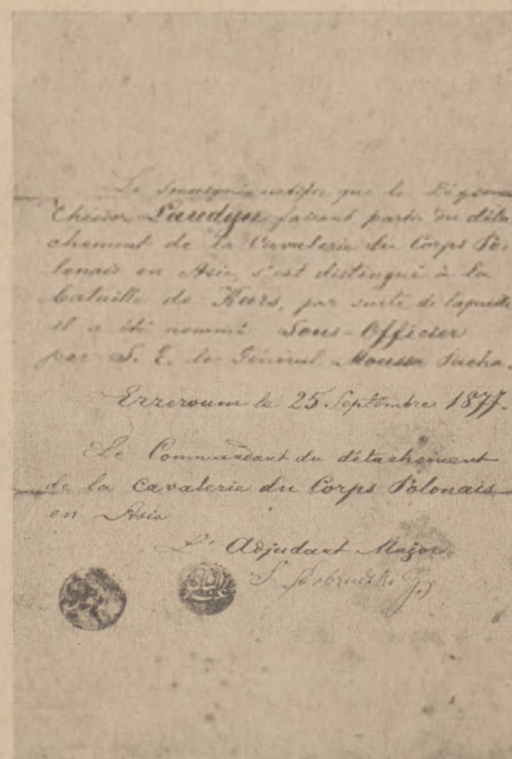
Redakcja.

Wstęp.

Legjon polski w Turcji w r. 1877/8 zawdzięczał swe powstanie tej samej idei, która przed trzema pokoleniami przed nim tworzyła legjony Dąbrowskiego, a więc protestu zbrojnego przeciw zaborowi Polski i walki w nadziei i z wiarą, że zaborca zostanie pokonany, a wolność i niepodległość dadzą się odzyskać przy pomocy zwycięskich wojsk wojującego państwa. Zachodziły wszakże i poważne różnice w sytuacjach, towarzyszących formacji i istnieniu obu zestawionych legjonów. Mocarstwem opiekuńczem i sprzymierzeńczem legjonów Dąbrowskiego była republikańska potężna Francja, walcząca z trzema zaborcami Polski, i genjusz Napoleona I-go, — legjonu zaś Artur-beja absolutna a słaba, monarchiczna Turcja, bez wodzów wybitniejszych, walcząca z jednym zaborcą — caratem moskiewskim.

W końcu w. XVIII-go, wnet po ostatnim rozbiorze Polski, mimo prostracji, ogarniającej podówczas naród, rozkawałkowany i unicestwiony w swej państwowości, istniała jeszcze żywa tradycja, żywe ślady bohaterskich walk powstania kościuszkowskiego i liczny materjał żołnierski zdemobilizowanej armji narodowej; u schyłku zaś w. XIX-go materjału podobnego prawie nie było, jeśli nie brać w rachubę reszty kryjących się byłych uczestników powstania 1863-go roku, lub sturczałych obu pułków polsko-otomańskich Sadyka-baszy Czajkowskiego, jednych i drugich neutralizowanych hasłami pozytywizmu pracy organicznej w zaborze rosyjskim i pruskim, a programem konstytucyjno-ugodowym patrjotów zaboru austryjackiego. Wreszcie, gdy na czele pierwszego legjonu obok Dąbrowskiego i Kniaziewicza, stawały zastępy oficerów głośnych w kraju i za granicą — pod rzecznictwem Kościuszki i członków emigracyjnych Sejmu Wielkiego, twórcą legjonu w Turcji — (Arturbej) został człowiek nieznany w kraju, a szczupłemu gronu znajomych, zwłaszcza na emigracji, chyba z tego, że zostawał w spółce z Abd-el-Kaderem w dostarczaniu koni arabskich na dwory monarsze, z dowództwa baterji powstańczej w Wenecji, z adjutantowania Halimowi-baszy, stryjowi wicekróla egipskiego, wreszcie z uczenia w Atenach królewicza lub dam dworskich jazdy konnej.

Znaczna część wychodźtwa naszego w Turcji i wogóle na półwyspie Bałkańskim, bądź ociągała się ze wstąpieniem do legjonu w oczekiwaniu dalszego rozwoju wypadków, bądź za przykładem dyktatora



Le soussigné certifie que le Légionnaire Theodor Laudyn faisant partie du détachement de la Cavalerie du Corps Polonais en Asie, s'est distingué à la bataille de Kars, par suite de laquelle il a été nommé Sous-Officier par S. E. le Général Moussa Pacha.

Erzeroum le 25 Septembre 1877.

Le Commandant du détachement de la Cavalerie du Corps Polonais en Asie

L'Adjudant Major

[illegible]

Langiewicza, przebywającego podówczas w Konstantynopolu, jako pełnomocnik Krupa w dostarczaniu dział Turcji, zachowywała się obojętnie, bądź wreszcie, jako pozostająca w czynnej służbie wojskowej na najwyższych i najniższych szczeblach (z muszyrami — marszałkami, Dżelaleddinem baszą Borzęckim i Mahmudem baszą, Frajndem na czele) uważała misję swą za dostateczną i poważniejszą od legjonowej.

Rzecznikiem zaś legjonów w kraju była tajna organizacja lwowska t. zw. „Konfederacja narodu polskiego", zapoczątkowana przez ludzi w rodzaju Wacława Koszczyca (pseudonim), byłego geometry w Turcji, cieszącego się opinją bezinteresowną i czy-

stego charakteru gorącego fanatyka patrjotycznego, ale nieobliczalnego i niepoczytalnego w fantastyczności planów swoich, niezmordowanego w podziemnem szermowaniu słowem i pismem, bez pogardzania oszczerstwem, miotanem na przeciwników swoich politycznych, bądź istotnych, bądź wyimaginowanych.

Wobec takich różnorodnych warunków, gdy legjony nasze zachodnie, mimo ciągłego dziesiątkowania, urastały do kilkunastu tysięcy, ten wschodni liczył zaledwie parę setek ludzi i nigdy niedociągnął nawet tysiąca.

Gorący patrjota, poczciwy i zacny, Artur - bej Cymertwan (z rodziny wielkopolskiej), pojony oględnością i tajemniczością Wschodu, o ile nie pogardzał krytemi ścieżkami dla dopięcia celów swoich, tyle nie miał w sobie rozpędu militarnego i politycznego na większą skalę. Dzięki temu z jednej, a zacietrzewieniu rzeczników jego konfederackich we Lwowie z drugiej strony, nie zdobyto się na deklarację jawną i szczerą, motywującą potrzebę powstania legjonu wobec potęgi narodu i późniejszego wojennego panslawistycznego manifestu cara Aleksandra II. Jak dawniej, w wojnach poprzednich z Turcją, rządy carskie agresywność i zaborczość swą wobec Turcji pokrywały rzekomą potrzebą wyzwolenia chrześcijan z pod władzy Islamu, tak znów teraz — nacjanalizmem i potrzebą wyzwolenia ludów słowiańskich Bałkanu, a zwłaszcza Bułgarji, z pod tureckiej władzy Sułtana i W. Porty. Cóż to za wyborna nadarzała się sposobność do wykazania obłudy tego caratu, który jedną ręką rozwinął chorągiew wolności i praw narodowych dla nieuświadomionych ludów w obcem państwie, a drugą gniótł i tępił największy, najprzedniejszy i najkulturalniejszy naród Słowiański — Polaków, że więc nie chodziło tu Moskalom o istotne wyzwolenie ludów, lecz raczej o oderwanie ich od Turcji, aby tem łacniej zagarnąć ich dla siebie, a ze zdobytego kraju uczynić gubernję Caratu.

Deklaracją taką juści nieodmieniłoby się ówczesnej dworskiej polityki gabinetów europejskich, zwłaszcza tych, które koncertowały pod batutą wszechwładnego Bismarka, ale zdemaskowanoby Carat przed opinją publiczną świata, przypomnianoby los Polski, wzmocniono stanowisko Turcji i samego legjonu — jako żywego zbrojnego protestu. Przez brak takiej deklaracji utrwaliło się w Bułgarach (i wogóle u Słowian), wodzonych na pasku panslawistycznym, przekonanie, że Polacy walczą przeciw ich wolności. I trzeba było później szeregu lat pracy naszej na półwyspie Bałkańskim, tudzież smutnych doświadczeń samych Bułgarów, aby się otrząsnęli oni z uprzedzenia tego.

Tymczasem w kraju szerzyła się pogłoska, że twórca legjonu uzyskał na formację onego ferman sułtański na zapewnienie czy warunek, że w Polsce wybuchnie powstanie podczas wojny tureckiej — jako dywersja polska w Rosji na rzecz Turcji. Pogłoskę tą podtrzymywała działalność konspiracyjna konfederacji Lwowskiej, która odezwami, dostawanemi z Kongresówki, a w rzeczywistości układanemi i drukowanemi we Lwowie, zdawała się przygotowywać ludność do ruchu zbrojnego w Kraju.

Wśród takiej sytuacji w styczniu 1877 r. wyjechałem ze Lwowa do Konstantynopola, aby tam — w zastępstwie chorego hr. Platera z Raperswylu, upatrzonego do podniesienia sprawy polskiej nad Bosforem, spełnić odpowiednie zadanie, przyjąwszy nadto zobowiązania publicystyczne, jako korespondent „Gazety Narodowej" i „Kłosów", tudzież Trybuny włoskiej, zaangażowany tamże za pośrednictwem Artur - beja. Agenda ta, podjęta w porozumieniu z gronem patrjotów, niezależnie od akcji Konfederackiej, była samorzutną i płynącą z dobrej woli służenia Ojczyźnie, jak sporadyczna akcja innych patrjotów, którym także dobrej woli odmawiać prawa nie mamy.

Wstrzymany po drodze potrzebą porozumienia się z rozrzuconem w Rumunji i Bułgarji wychodźtwem naszem, zanim dojechałem do stolicy tureckiej, już nie tylko było po detronizacji sułtana Murada i unicestwieniu wpływów powiernika i przyjaciela jego hr. Hołyńskiego, tego samego, którego uwiecznił wierszem z nad Nilu Juljusz Słowacki, ale i obalonym został przyjaciel Polski, twórca konstytucji tureckiej, wszechwładny do niedawna Wielki Wezyr Midhal basza.

Unicestwienie ludzi, na których liczyło się tem przykrzejszem było, tem bardziej się odczuwało, gdy i ze strony kilku legjonistów naszych niezbyt przychylne spotkało mię powitanie.

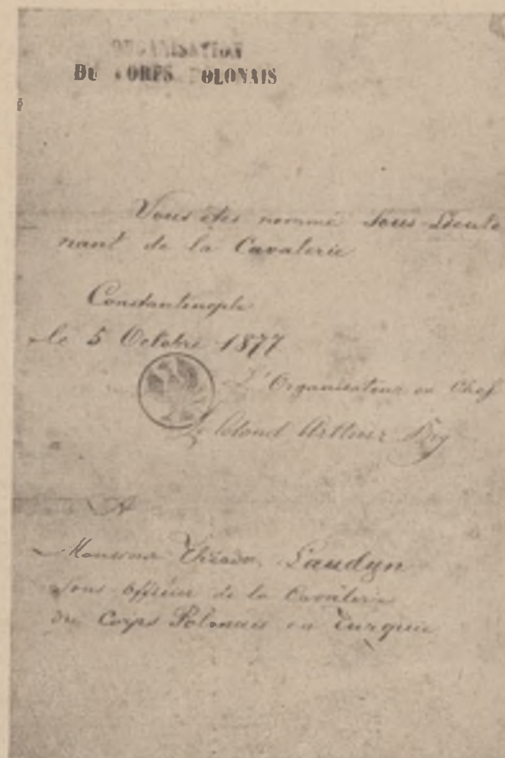
Z hotelu „PEST" przeniosłem się był na (ulicę) Sarkyz - Sokak, gdzie w domu pianistki — pani Jyrmy Herzmaińskiej nająłem lokal odpowiedni. W parę dni gdy ulokowałem się tamże, wpadł przed północą do mieszkania mego oficer legjonowy, niejaki Halicki z kilku żołnierzami i groźbą użycia broni usiłował mnie zmusić do wyjazdu z Konstantynopola. Pani Herzmaińska, dająca lekcje muzyki w haremach baszów i sułtańskim, młoda jeszcze wdowa, zda mi się pochodzenia żydowsko-węgierskiego, słabo władająca językiem polskim, była autorką pracy „Melodies turques", za który otrzymała medal złoty od cesarza Franciszka Józefa na wystawie filadelfijskiej. Życzliwa o tem na kilka miesięcy przedtem wzmianka moja w Gazecie Narodowej, której redakcji członkiem byłem, zapewne ułatwiła mi najem lokalu u niej. Przypuszczam, że instygatorem napadu był Koszczyc, który w każdym, niedeklarującym się jawnie, jako jego przyjaciel polityczny, podejrzewał wroga, a który też musiał zawiadomić legjon o wyjeździe moim do Stambułu.

Halicki zaś, jako adorator Herzmaińskiej i bywający u niej w domu, wiedział, gdzie mnie szukać. O napadzie zawiadomiłem Agatona Gillera, jako również członka redakcji Gaz. Nar. i duchownego przewodnika protestów zbrojnych, oraz J. I. Kraszewskiego, jako Nestora literatury naszej, przedstawiciela opinji polskiej za granicą, a mego dawniejszego kuratora szkolnego z Żytomierza. Gdy w parę miesięcy potem spółwłaściciel Gaz. Nar. prezes Tow. „ORŁA BIAŁEGO" Karol Groman przybył do Konstantynopolu dla zlustrowania legjonu z ramienia demokratów lwowskich i tworzącego się pod przewodem A. ks. Sapiechy na gruzach konfederacji tajnego Rządu Narodowego, gdy Groman wyjaśnił legjonowi stanowisko moje i usunął nieporozumienia, Artur bej, jakby w dowód satysfakcji dla mnie i uznając samodzielność w akcji Halickiego, w obecności naszej na ulicy publicznie zerwał mu szlify oficerskie.

Sir Munro Butter Johnston należał do tych szlachetnych entuzjastów angielskich, którzy, bez względu na merkantylizm i utylitaryzm otoczenia własnego, poświęcają mienie, pracę i życie swoje idealnym porywom duszy ludzkiej. Wybrany członkiem parlamentu angielskiego, bronił w nim sprawy polskiej. Przebywając czas pewien na stepach astrachańskich dla leczenia kumysem choroby swej piersiowej, a następnie podróżując po Rosji i poznawszy ją, stał się nieprzyjacielem caratu, a gorącym zwolennikiem wolności ludów przezeń ujarzmionych. Przy zbliżającej się wojnie z Turcją, przybył do Konstantynopolu w towarzystwie dymisjonowanego admirała Selvyna, którego przybrał sobie za doradcę swego militarnego i tu z odziedziczonych po ojcu swym w drodze przemysłowo-handlowej funduszów — rzucił miljony W. Porcie na rzecz kosztów walki z caratem. Do walki tej poza otwartą wojną turecką organizował w drodze poufnej najrozmaitsze żywioły, począwszy od Afganistanu, a skończywszy na nihilistach rosyjskich i ich sprzymierzeńcach — socjalistach niemieckich, nie pogardzając przytem czynnikami wręcz przeciwnemi zasadniczo tamtym, jak nacjonalizmem węgierskim (z Koszutem i Klapką na czele) i katolicyzmem kurji rzymskiej przez kardynałów Franchiego i Ledóchowskiego i przez tę wszechstronną akcję krzyżując plany urzędowej polityki wpadł w kolizję z własnym rządem, i stał się coraz zgryźliwszym yrzeciwnikiem lorda Salibuyego, który już wówczas, licząc na upadek Turcji, rezerwował w spadku po niej Cypr dla Anglji.

Johnston, persona grata u Sułtana Abd-u-l-hamida i Wysokiej Porty, zająwszy do swego rozporządzenia wspaniałe apartamenty liceum cesarskiego Gałata-Seraj, zajął się gorąco rzecznictwem sprawy polskiej, poparł Cymermana w wyjednaniu fermanu sułtańskiego na legjon i własnym kosztem wyekwipował ludzi.

Johnston też i mnie przedstawił Sułtanowi, który nalegany przez niego zaproponował mi wypracowanie odpowiedniego dla podniesienia sprawy polskiej memorjału i znoszenia się w tej mierze z Wielkim Wezyrem. W memorjale kładło się nacisk na to, że Polska, wyczerpana ostatniem powstaniem i eksterminacyjną administracją moskiewską, nie może wszczynać ruchu zbrojnego przed pojawieniem się zwycięskich wojsk ottomańskich na terytorjach b. Rzeczypospolitej. A w takim razie należałoby albo rozszerzyć ramy legjonu, albo obok niego stworzyć silne kadry dla przy-


DU CORPS POLONAIS

Vous êtes nommé Sous Lieutenant de la Cavalerie

Constantinople
le 5 Octobre 1877

L'Organisateur en Chef
Colonel Arthur Bey

A

Monsieur ... Szadyn
Sous officier de la Cavalerie
du Corps Polonais en Turquie

szłej armji polskiej, a takowe wcielając turczone teraz oba pułki kozaków ottomańskich po Sadykubaszy Czajkowskim, z uwzględnieniem w nich żywiołu ruskiego. Wkroczeniu Turków na ziemie Rzeczypospolitej miałby towarzyszyć manifest sułtański do Polaków, proklamujący niepodległość Polski.

Johnston zaś brał na siebie staranie o to, aby między tak uplanowaną akcją turecko-polską a zamierzoną rewolucją nihilistów w Rosji była odpowiednia koordynacja czasu i na wypadek interwencji Prus — pewność dywersji ze strony socjalistów niemieckich. Porozumienie z Koszutem miało być ewentualną asekuracją wobec Austrji. Tymczasem prawie legjon był sformowany i kiedy w kwietniu 1877 r. po formalnem wypowiedzeniu wojny przez cara — wojska carskie ruszyły ku Dunajowi, jedną część legjonu wysłano naczelnemu wodzowi Abd-u-l-kerimowi do tureckiej armji nadunajskiej, a drugą przygotowano do ekspedycji

na teren anatolski do tamtejszego wodza naczelnego armji azjatyckiej — Muchtara baszy na spotkanie, armji rosyjskiej kaukazkiej. Spieszono się dlatego, aby legjon jak najprędzej wejść mógł w kontakt z armją rosyjską i powiększyć materjał swój ludzki, zarówno w zbiegach jak jeńcach polskich. Abd-u-l-kerim, wykształcony w wojskowej szkole wiedeńskiej, miał plan przepuścić pierwsze nadchodzące korpusy W. Księcia do Bułgarji, na prawy brzeg Dunaju, tu je otoczyć i zdusić. A nato potrzeba było zerwać komunikację z lewym brzegiem i uniemożliwić dowóz zarówno dalszych pułków, jak amunicji i zapasów dla poprzednich. Wtym czasie Johnston dał 200.000 franków na zburzenie mostu pod Barboszem. Mostu nie zburzono. Abd-u-l- kerim został odwołany.

Rachuba na zbiegów i jeńców polskich dla legjonu mogła się udać tylko przy zwycięstwach tureckich i odpowiedniej propagandzie legjonu, której prawie nie było, a armja turecka wciąż się cofała. Dopiero przybycie walecznego Osmana baszy z pod Widynu z 40,000 i mistrzowskie szybkie okopywanie się jej pod Plewną, wstrzymało pochód wojsk rosyjskich. Zwycięska obrona oblężonego Osmana zwróciła nań oczy świata całego. Nadzieje na zwycięstwo Turków odżyły.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Cichy list cichego sympatyka inwalidów o sprawach, które są bardzo ciche.



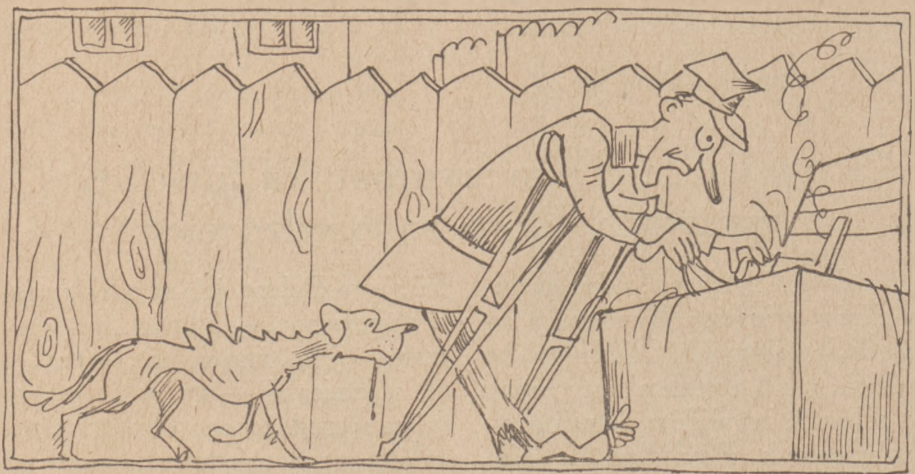
Kochani Czytelnicy! Mam szczerą chęć powiedzieć Wam coć o inwalidach wojennych. Niedawno, bo tydzień temu, zostałem zaproszony na zebranie inwalidów, jako ich cichy sympatyk. Poszedłem, bo, jako sympatyk, nie mogłem im odmówić,—a usłyszałem wiele ciekawych rzeczy na tem zebraniu, z któremi, kochani czytelnicy, pragnę się z wami podzielić. Tych biednych inwalidów zlazło się co niemiara! Kulawi, ślepi, bez rąk, połamani, pogięci, pokrzywieni, niczem ofiary Wodza Hadesu - Lucypera. Zlazło się to po-



wykrzywiane bractwo radzić nad swą dolą i niedolą, a ciężka ona i strasznie okrutna. Boże pożal się! Kiedy zebranie już otworzono, zabiera ci głos jeden z nich, taki powyginany inwalida, i zaczyna opowiadać po swojemu, bez bujdy, jak szli z zapałem i wesoło bić się za Polskę, jak im wtedy wiele obiecywano, — a dano... przepraszam — jako tako się im pomaga,— ale obietnicami — np. dania koncesyj na sprzedaż monopolowych artykułów, pierwszeństwo do posad na urzędach, renty (no te jeszcze jako tako dają), ulgowe przejazdy (50% na kolejach w poszukiwaniu pracy), a tak, dają, zniżki,—ale nie w poszukiwaniu pracy — lecz miejsc doradczych dla inwalidów, lekarza itp. ale nie do pracy, (nadawanie ziemi), ziemię dają — (ale pazurami trzeba ją drapać) opiekę nad wdowami i sierotami i t. d. — naprawdę obiecywano złote góry i obietnicy dotrzymano, ale nie dla inwalidów.

Założono np. pod pozorem niesienie pomocy inwalidom Towarzystwo, w którem znalazły dostatnie korytko różne przybłędy. Jaśnie z tytułami i bez, którzy

nie mieli nic wspólnego z inwalidami, a czas wojny przepędzali na tyłach, włócząc się z dziewkami po kabaretach i spelunkach — i myślicie Kochani Czytelnicy, że to sławne Toawrzystwo uczyniło co dobrego dla inwalidów, choć nasze społeczeństwo ofiarne — liczne i cenne ofiary składało? Owszem. Chęci były. Zakładano coprawda różne ceremonjały, cegielnie, hurtownie odpadków, ale nie dla inwalidów tylko dla leniuchów, panów z dużemi brzuchami i innej tam hołoty, kółka wzajemnej adoracji. Inwalida wśród tej wspaniałej instytucji nic nie wskórał, — chyba że



umiał przed Jaśnie Panami kark do ziemi schylać, łapy przetłuszczone dobrodziejów całować, no, to jakiś tam ochłap dostał. Nawet loterja na inwalidów, którą urządzili w pewnej stolicy sami inwalidzi, — no, może i byli wojskowi (do spółki z panem od naszych, ale to nie przeszkadza, mamy ustrój demokratyczny, który nie uznaje różnicy rasy, płci i t. p.), przyniosła... tysięcy złotych, w rezultacie nic nie dała, bo same wyjazdy dyrektorów kosztowały... tysięcy, no i trochę tysięcy losów spoczęło w rękach prywatnych akwizytorów, (może prywatnych, może b. wojskowych, może oficerów rezerwy), którzy z nich się nie wyliczyli, bo nie żądano od nich — o, przepraszam, żądano wyliczenia, — ale nieznane są ich adresy! Zaś samo losowanie! — Bardzo ładne, przyjemne, (sielanka — Wilanów „Maksim", łaźnia i t. p.), po losowaniu adwokat, niedobory — książki rachunkowe loteryjne



(coś tam w nieporządku) niewyliczenia się władzy loteryjnej — cały korowód tajemnic (cicho sza — żeby się społeczeństwo nie dowiedziało, no, i sami inwalidzi). Ale, Boże kochany, cóż na to mogą pomóc sami biedni inwalidzi — gdy los obdarza ludzi dobremi i złemi stronami charakteru.

Zresztą inwalidom się dobrze dzieje (tak mówią widzowie w społeczeństwie) są wyższemi urzędnikami w Ministerstwach j. np. Skarbu..., radnymi dużych miast jak np. Poznań... Zakładają wielkie hurtownie bez pieniędzy, dostają kioski i do tego rentę, inne nadzwyczajne dodatki, naddatki... rękawne, porękawne i t. d. i t. d., że nie przystąp do takiego i z kijem, bo cię nie zna, choć sam był łazikiem, w podartych portkach po mieście bruk szlifował.

Zresztą, co tu dużo gadać, te połamane inwalidy, moi Kochani Czytelnicy, mówili prawdę, lecz i tak będą im zarzucać kłamstwo. Ale nie bójta się, kochane Inwalidy, prawda zawsze zwycięża, a złodziejstwo wyjdzie na jaw.

Inwalidy!! po waszej stronie słuszność, po waszej stronie prawda, więc tylko śmiało domagajcie się tego, co Wam się słusznie należy, nie dajcie się okradać, wyciągajcie brudy na wierzch do prania, — a będzie Wam, kochane Inwalidy, dobrze, tego Wam życzy z całego serca wasz cichy sympatyk.



Pobóg.

KRONIKA INWALIDZKA.

Biuletyn informacyjny Warszawskiego Zarządu woj.

Nowy Warszawski Zarząd Wojewódzki, pod dzielnem kierownictwem swego prezesa St. Żuka, rozpoczął energiczną działalność organizacyjną, i tchnięty dobrą myślą przystąpił do wydawania „Biuletynu informacyjnego", przeznaczonego dla Zarządów prowincjonalnych. Wyszły już dwa numery. Znajdujemy w nich obok artykułów St. Szlimma (z Płocka) i St. Żuka, cały szereg cennych wskazówek i informacyj, dotyczących spraw koncesyjnych i rent, ulg podatkowych i mieszkaniowych, prowadzenia sekretarjatu, wnoszenia podań i t. p. Wiemy, że „Biuletyn" ten jak najlepsze wrażenie zrobił na prowincji, i sądzimy, że może on zapełnić dotkliwą lukę, o usunięciu której nie pomyślał dotąd „Inwalida" Wydziału Wykonawczego. To też zdziwiły nas uporczywie podtrzymywane wieści, jakoby z łona Wydziału Wykonawczego wyszły już sprzeciwy, dążące do zawieszenia „Biuletynu". Dlaczego?! Czy aby nie dlatego, że „Inwalida" nie pomyślał sam o tej potrzebie?! Bo jakież mogą być poważne powody przeciw istnieniu „Biuletynu"? Niema takich. „Biuletyn" powinien wychodzić, bo okazał się potrzebnym, bo zapełnił rzeczywistą lukę.

Nietakt „Inwalidy".

Istnieje słynna w Zakopanem restauracja Fran. Trzaski, pobierająca za wszystko ceny niezwykle słone, i ciesząca się powodzeniem przedewszystkiem u sfer „mniejszościowych", mających większe pieniądze, i zostawiających niemałe sumki złotych w kieszeni pana Trzaski. Ale podobno pan Trzaska ma jakieś kłopoty z koncesją. Nie przeczymy. Może to nawet sprawa niewyraźna i może należy ją poruszyć publicznie. Zgoda. Ale nam się zdaje, że „Inwalida", Naczelny Organ Związku Inw. Woj. R. P., który nie posiada miejsca (i może czasu) na obronę spraw setek i tysięcy najbiedniejszych inwalidów, nie powinien poświęcać obronie znanego na terenie Zakopanego „niebiednego" artykułów wstępnych. Znane są nam fakty oburzającego krzywdzenia wdów, sierot i inwalidów, nie posiadających żadnych koncesyj, ale o nich artykułów wstępnych w „Inwalidzie" nie czytaliśmy.

Jak to było?

Dyrektor elektrowni warszawskiej pan inżynier Franciszek Kobyliński już od dłuższego czasu uchylał się od przyjęcia do kierowanego przez siebie przedsiębiorstwa ustawowej liczby inwalidów. Monity państwowego urzędu pośrednictwa pracy nie odnosiły skutków. Elektrownia zatrudniała stale 20—23 inwalidów, zamiast wymaganych przez ustawę 29. Wobec tak bezprzykładnego sabotowania ustawy skierowano sprawę na drogę postępowania karno - administracyjnego. Komisarjat rządu na m. st. Warszawę skazał p. inż. Kobylińskiego na 21 dni bezwzględnego aresztu. Mówią jednak inwalidzi, że nie siedział. Ej. chyba siedział, bo inaczej... no, to rzecz dziwna!

Stan organizacyjny Woj. Warszaw. w r. 1925 26.

Kół na terenie województwa warszawskiego było w tym czasie 23, grup 2. Wyjazdów na walne zebrania odbyło 35, lustracyj 21, w sprawach organizacyjnych i gospodarczych 26, różnych 7. Członków czynnych liczą Koła około 3.000. Na podstawie zestawień za okres ostatnich 3-ch lat, rozwijają się dobrze i skupiają co rok więcej członków następujące koła: Płock, Kutno, Nowy Dwór, Rawa Mazowiecka, Żyrardów, Skierniewice, Rypin i kilka w mniejszym stopniu, jak Radzymin i Mława. Natomiast maleją liczebnie Koła w Łowiczu, Warszawie, Mińsku Mazowieckim, Lipnie, Pułtusku, Włocławku, Warce i Płońsku.
Najliczniejsze koło, Warszawa - miasto, obfituje, niestety, we wszystkie wady różnych Kół. W okresie, o którym mowa, zmieniono Zarząd cztery razy, ponieważ w każdym z tych Zarządów znaleźli się członkowie popełniający nadużycia. Nie jest więc rzeczą dziwną, że rozczarowanie wśród członków rośnie, i że rozczarowanie to sprzyja bardzo rozwojowi organizacyj, zdążających do rozbicia Związku Inwal. R. P., jak np.: „Legja inwalidów polskich" i „Związek inwalidów żydów". Brak poszanowania zasad organizacyjnych, brak posłuszeństwa dla Władz Związku, wreszcie tych władz wady i dotkliwe braki — oto przyczyny upadku Koła Warszawskiego. Jest sprawą palącą uporządkowanie gospodarki tego Koła przez oparcie budżetu na racjonalnych podstawach i bezwzględne usuwanie mętów i niepewnych członków.

Walka o renty i o rewizję koncesyj.

Wśród przedziwnych kwiatków skończonej już na szczęście polityki skarbowej b. ministra Zdziechowskiego, jednem ze znamiennych posunięć była nowela do ustawy o uposażeniach inwalidów wojennych. Nowela ta wywołała swego czasu wśród wielotysięcznej rzeszy inwalidów ogromne wzburzenie — w razie bowiem wprowadzenia jej w życie, stałaby się dla dziesiątków tysięcy prawdziwą katastrofą, pozbawiając ich nawet tych głodowych rent, jakie dotąd otrzymywali.

Odbyły się wtedy liczne wiece protestacyjne, i nawet najbardziej przychylni p. Zdziechowskiemu ludzie zżymali ramionami na te usiłowania, wyrównujące

niedobory budżetowe kosztem inwalidów. Pamiętać przecież należy, iż na państwie ciąży w stosunku do inwalidów dług 481 miljonów złotych za czas od r. 1921, tymczasem na poczet tej sumy wypłacono jedynie zaliczki w wysokości ogólnej 182 miljonów złotych. Ponieważ zaś w roku bieżącym wypłacone jest tylko 86 proc. zasadniczej renty, nie wypłaca się zaś ustawowych dodatków (dla ciężko okaleczałych, kwalifikacyjnego i t. d.) — przeto w rzeczywistości niezależnie od danego długu państwa inwalidzi otrzymują 61 proc. rent, które im się należą. „Wzamian" za uregulowanie tej sprawy, za ustawową rewizję koncesyj i t. d. ma się odebrać renty inwalidom, posiadającym 16—44 proc. niezdolności do pracy. Uzyskane miało byś w ten sposób 23 proc. oszczędności — gdy tymczasem nie zrobiono dotychczas nic, ażeby wprowadzić w życie ustawę, mówiącą, iż prawa do renty nie posiadają ci inwalidzi, których dochody przewyższają dwukrotnie wysokość ich renty. Lekceważy się także wszystkie obietnice z r. 1920, i zapomina się o tem, że wśród olbrzymiej 420 tysięcznej rzeszy inwalidów w Polsce, jest olbrzymia gromada inwalidów właśnie z roku 1920, których rozgoryczenie i oburzenie jest najzupełniej usprawiedliwione.

Na zasadzie traktatu Wersalskiego należą się Polsce znaczne sumy od Niemiec i Austrji właśnie za świadczenia na rzecz inwalidów, przejętych po tych państwach. Słuszne jest więc stanowisko inwalidów, którzy protestując przeciw odebraniu rent, podkreślają, iż nie mogą ponosić winy zato, iż rząd nie chciał, czy nie umiał upominać się o należne mu od zaborców sumy.

Akcja protestacyjna inwalidów obecnie umilkła. Pan Prezydent Rzeczypospolitej, pan Marszałek Piłsudski i pan minister skarbu Czechowicz zapewnili delegatów inwalidzkich, że ustawa o rewizji koncesyj będzie wykonana. Wyszedł już nawet okólnik Ministerstwa Skarbu o przystąpieniu do wypowiedzenia koncesyj dotychczasowym ich posiadaczom. Wierzymy, że teraz sprawa inwalidów weszła na właściwą drogę. Może nareszcie zostanie tak załatwioną, jakto sprawiedliwość nakazuje.

SPIS TREŚCI.

Projekt okładki wykonały H. i Z. Birtusówne w Krakowie.

Redaktor: *Wiktor Przecławski.* Wydawca: Wydawnictwo „*Polska Inwalidom*"
Warszawa, Marszałkowska 15a, m. 3.

Prenumerata roczna wraz z dodatkiem książkowym 20 złotych.

Cena niniejszego zeszytu 2 zł. 50 gr.

Drukiem Salezjańskich Zakładów Graficznych w Warszawie, ul. Lipowa 14. Tel. 82-65.

PRZYJACIELE NASZEGO PISMA:

Przyjaciele naszego pisma popierajcie tych, którzy nas popierają.

Dobryszyce
Szkoła Rolnicza Sejmiku Radomskowskiego.

Goszcza, poczta i telegraf Kocmyrzów
Folwark, właściciel: Henryk Zubrzycki.

Grójec
Magistrat. Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa.

Kalisz
Malanowski i S-ka, ul. Wrocławska (róg św. Stanisł.)
Dr. L. Müller, ul. Wrocławska 35.
Dr. med. E. Rozental, pl. Kilińskiego 2.
Restauracja Klub Tow. Wioślarskiego, Park miejski.
Zakład Leczniczy, Park miejski.

Kielce
Pierwszorzędny Hotel Polski, Kolejowa 29.
Hotel „Polonia“ Stępień, Sienkiewicza 55.
T. Rottenberg, Młynarska 9.

Łuck
Centralna Apteka Rejnomena, Jagiellońska 38.
W. Walter

Dominium Mstyczów
Właścicielka Helena Kuglerowa.

Pruszków
Elektrownia Okręgowa S-ka Akc.

Przemyśl
Dr. Józef Palch.
Hotel „Versal“, Sienkiewicza 36.

Radomsko
K. Wünsche i S-ka, Fabryka mebli wiedeńskich.

Równe
Apteka Kirszon, ul. 3 Maja.
Centralna Apteka, J. Karsza.
Mauer, ul. 3-go maja.

Rawa Mazowiecka
Zakłady przemysłowe „Dolna“
Magistrat.

Sosnowiec
Sielecka Cegielnia-Motorowa, Wieczorka, Wawel 12.
Fabryka Papieru Lamprecht.

Dominium Sieborowice
Właściciel W. Zakrzeński.

Toruń
J Wojciechowski — Księgarnia, Stary Rynek 4.

Włocławek
Cukiernia Bednarskiego, ul. 3-go Maja 26.
Fabryka gwoździ i drutu „Clarus“.
Fabryka Kafli, ul. Kilińskiego 11.
Polski Kujawski Magazyn Ubiorów J. Króla 3-go Maja.
Tartak Parowy i Skład drzewa, ul. Płocka 136.

Zakopane
Fabryka wyrobów masarskich oraz wyrąb mięsa J. Galica, Krupówki.
Biuro kolejowe „Orbis“, Krupówki.
St. Warchałowski, ul. Kościeliska 12 (obok Spółki Handlowej.)

SKOROWIDZ FIRM I INSTYTUCYJ, KTÓRE ZAMIEŚCIŁY OGŁOSZENIA W NUMERZE TRZECIM.

I. PRZED TEKSTEM.

II. W TEKŚCIE.

III. ZA TEKSTEM.

„PERSKIE OKO"

PIERWSZORZĘDNY TEATR REWJI

WARSZAWA, Marszałkowska 125.

(DAWNIEJ TEATR NOWY).

TELEFONY: 13-09, 13-16, 13-17.

ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY:

PP. Bodo — Betcherowa — Boroński — Borońska — Koszutski — Kamińska
Lawiński — Macherska — Macherski — Merlińska — Olsza
Ostrowski — Pogorzelska — Rentgen — Sawicka
Tom — Wiehler — Siostry Halama.

Kier. artyst.: **Konrad Tom.**

Kapelmistrz: **Z. Wiehler.**

Baletmistrz: **E. Koszutski.**

Sekretarz:
J. BOROŃSKI.

Kierownik administr.:
W. SZCZERBIEC-MACHERSKI.

Dekoracje: **W. Jewniewiczowej i B. Zinserlinga.**

Kostjumy: **E. Pogorzelskiej.**

Codziennie dwa przedstawienia o godz. 7·15 i 9·30 w.

Kasa czynna od godz. 11—2 i od 5 do końca przedstawienia

Z.